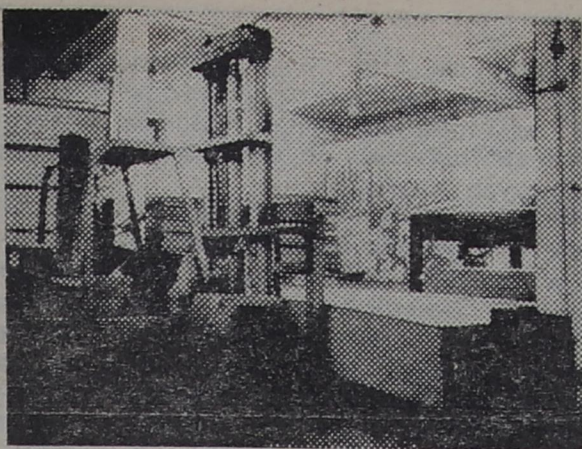




3
zielone
fajerwerki



6-7
trzeba ją
klepać

10
diabelski
Bóg

10
kulą w płot



12
wydalanie
wsobne



14
strajkuj
razem
z nami

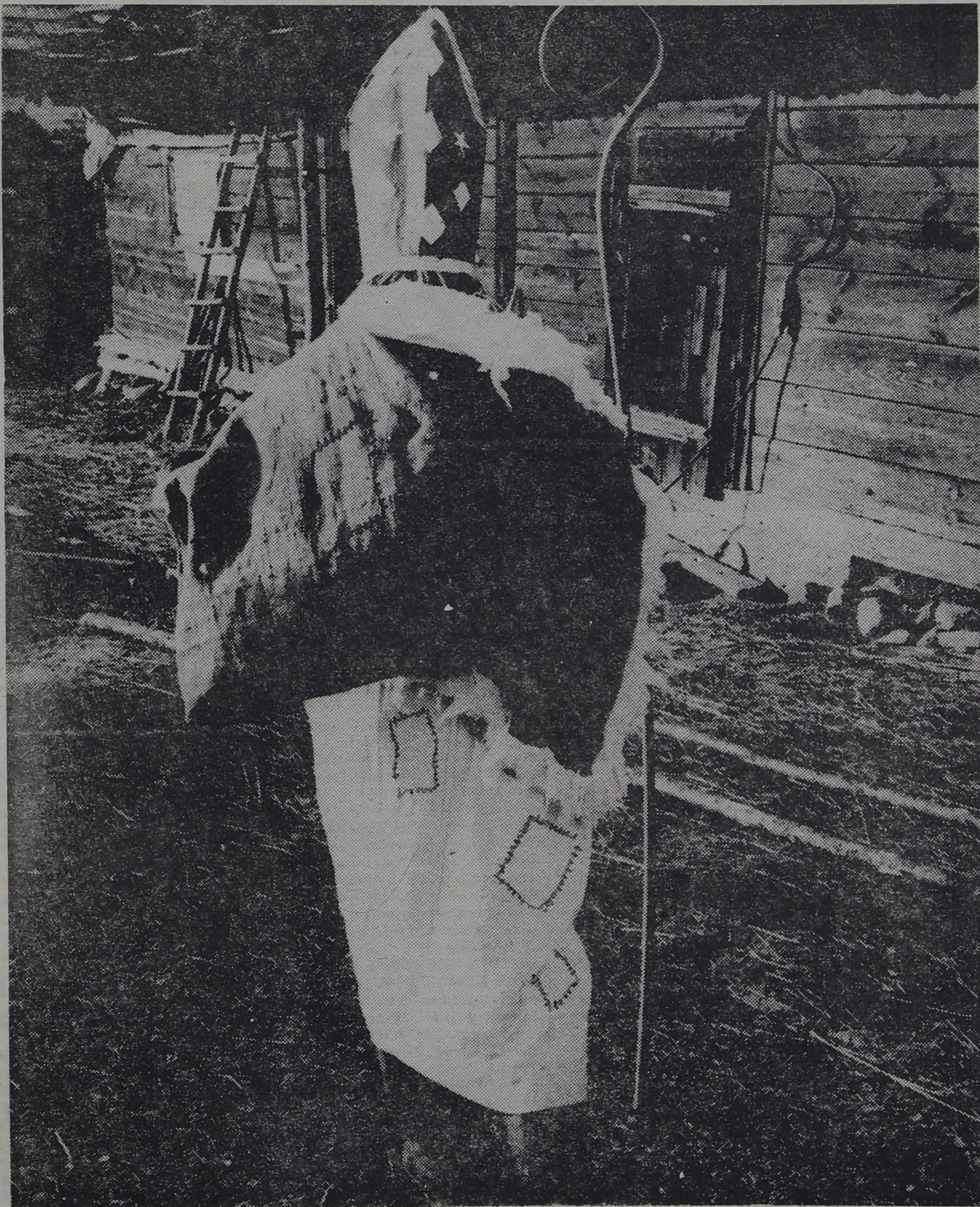
KONTAKTY

ŁOMŻYNSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

48

(75)

KONTAKTY
6.XII.1981
Cena 6 zł



Fot. GABOR LORINCZY

MARTA MIKLASZEWSKA

**nie dogonisz
w gwiazdach**

Gdzie okiem rzucić — kartofle: w dłoniach, pod motykami, na szuflach; pełno wozów z kartoflami. I pola dymią; kartoflane ogniska w mgłach jesiennych. Pustawo, szarawo, złotawo, czerwonawo. I ludzie szarawi od świtu do nocy w kartoflanych polach. Szukam Władysława Tomaszewskiego lat 85, samouka ze wsi Jednaczewo.

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

BEZ PARDONU

Łabędź w sztukowanej koronie (2)

Ze względu na dużą ilość podnoszonych przez mieszkańców Wysokiego Mazowieckiego spraw — publiczne spotkanie z cyklu „Bez pardonu” trzeba było kontynuować w drugim terminie. Przybyli na nie odpowiedzialni za rozwiązywanie miejscowych problemów: Ferdynand Kozera — przewodniczący Miejsko-Gminnej Rady Narodowej, Józef Chrzanowski — naczelnik UMIG, Stanisław Żebrowski — I sekretarz KMiG PZPR, kierownicy zakładów i instytucji. Redakcję reprezentowali: Nina Omelezenko, Stanisław Zieliński, Gabor Lörinczy, Wawrzyniec Kłosiński.

JUTRO BĘDZIE POWIESZONA

„KONTAKTY” (Z LISTY): — Co zrobił pan Kozłowski jako przedstawiciel gminy, województwa? Tylko wybudował sobie dom oraz zakłady przy ulicy Długiej i Przechodniej.

DANIEL KOZŁOWSKI: (prezes Wojewódzkiej Usługowej Spółdzielni Pracy): — Dom mogłem sobie wybudować jak każdy; a co zrobiłem dla Wysokiego Mazowieckiego, nie muszę wyliczać, bo wszyscy mnie tu znają.

MARIAN ROSZKOWSKI: — Czy ktoś widział naczelnika i sekretarza w kolejce po mięso? Myślę, że władze korzystają też z innych przywilejów.

STANISŁAW ŻEBROWSKI: — Tak, jak wielu mieszkańców w Wysokiem, udało mi się zrealizować część przydziału w swojej jednostce. Pozostałe kartki (mogę pokazać) noszę przy sobie.

Z SALI: — Czy w dobie kryzysu naczelnik nie widzi pilniejszej potrzeby zużycia cementu niż na odbudowę pomnika Piłsudskiego?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Nie ten adres.

FERDYNAND KOZERA: — Cement pochodzi z darów społeczeństwa. A skąd go wzięli, trudno powiedzieć.

„KONTAKTY”: — Panie naczelniku, czy komuś zginął cement?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Nie meldowano mi.

JAN KRYŃSKI (dyrektor Zespołu Szkół Zawodowych): — To nie był pomnik Piłsudskiego, na jednej ze stron widniało tylko jego popiersie. Był poświęcony wszystkim tułaczom, którzy oddali życie za odzyskanie przez Polskę niepodległości. Uczciwi ludzie przechowywali tablicę. Jest na niej 25 postaw: Brzóska, Jabłoński i inni. Stąd oni pochodzą, jeszcze żyją ich rodziny. Należy honorować ten

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

IX SESJA WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ w Łomży w całości poświęcona została sprawom rolnictwa i wyżywienia. W przyjętej uchwale — wytyczającej kierunki rozwoju przetwórstwa rolnospożywczego do 1985 roku — WRN za najważniejsze uznała: rozbudowę i modernizację obiektów przetwórstwa mleczarskiego. Np. uruchomienie wykańczanych w ślimaczym tempie zakładów w Grajewie i Wysokiem Mazowieckiem oraz wybudowanie mleczarni w Ciechanowcu zwiększy roczny przerób o 158 milionów litrów mleka. Działania te obejmą także Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego w Łomży — zwiększy to przetwórstwo ziemniaków do 2 tys. ton na dobę, produkcję glukozy z 5,5 do 17 tys. ton, piwa z 225 do 270 hektolitrow. Rada widzi też konieczność budowy nowego zakładu mięsnego, proskowni jaj, chłodni przemysłowo-składowej, zakładu suszu ziemniaczanego. Za najpilniejsze uznała natomiast zakończenie budowy masarni z ubojnią w Zambrowie i rozbudowę przetwórczo-owocowo-warzywną w Wysokiem Mazowieckiem. Do inwestowania wymaga przetwórstwo zbożowe: należy jak najszybciej sfinalizować budowę piekarni w Łomży i Nowogrodzie, zmodernizować istniejące w Ciechanowcu, a w drugiej kolejności wznieść podobne obiekty w Stawiskach i Kolakach.

Radni zapoznali się również z informacją o realizacji uchwały z 25 sierpnia 1978 roku w sprawie inwestycji rolniczych. Wnioski: rozważyć możliwość uruchomienia produkcji niektórych materiałów budowlanych, doprowadzić do usamodzielnienia się zakładów budowlanych WZSR, zapewnić prawidłową realizację decyzji z 1976 roku w sprawie budowy wodociągów.

Na interpelacje radnych odpowiadał wicewojewoda Stanisław Ciupa oraz — po raz pierwszy — dyrektorzy wydziałów UW. Natomiast wojewoda Jerzy Zientara przedstawił aktualną sytuację społeczno-gospodarczą województwa i wyjaśnił zasady powoływania wicewojewodów — pozostaje to w gestii Prezesa Rady Ministrów. Radny Tadeusz Janucik zarzucił bowiem władzom wojewódzkim stosowanie polityki faktów dokonanych, niezasięganie opinii związków zawodowych. W tej sprawie NSZZ „Solidarność” Oddział w Łomży wystosował do Premiera list. Na Sesji wystąpił także, jako gość, przewodniczący NSZZ RI „Solidarność”, Jan Legacki: przedstawił najważniejsze problemy łomżyńskiego rolnictwa i — podkreślając bardzo dobrą współpracę wojewodów i UW ze Związkiem — zapowiedział jednocześnie bezwzględna walkę ze złe pracującą administracją terenową.

25 LISTOPADA NA PLENUM WK ZSL gościł wiceminister Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, Jan Zaleski, dyskutowano o najbardziej palących problemach wsi i rolnictwa. Ponieważ Kazimierz Czapka przeszedł do pracy w NK ZSL, Andrzej Kasiorok wyjechał na stałe do Elku, a Eugeniusz Mioduszeński został wicewojewodą, trzeba było uzupełnić skład WK ZSL. Społecznymi wiceprezesami zostali: Eugeniusz Mioduszeński i Tadeusz Komsta, a sekretarzem — Czesław Gartych, prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Transportu Wiejskiego. W przyjętej uchwale Plenum WK ZSL sformułowało trzy apele: do rządu — o przyspieszenie reformy gospodarczej; do rolników — o zwiększenie dostawy na skup; do robotników — o zwiększenie produkcji towarów przemysłowych dla rolnictwa. Plenum kategorii odrzuciło rządową uchwałę nr 229 w sprawie tzw. sprzedaży związanej.

III WOJEWÓDZKA KONFERENCJA Sprawozdawczo-Wyborcza ZSMP odbyła się 27 listopada br. 140 delegatów, reprezentujących 18-tysięczną rzeszę członków wojewódzkiej organizacji, opowiedziało się za umocnieniem ZSMP we wszystkich środowiskach i dostosowaniem do nich form i metod pracy. Delegaci stwierdzili, że w dotychczasowej działalności Związku brakowało konsekwencji w realizacji inicjatyw i pomysłów. Ale też i władze wojewódzkie nie zawsze po partnersku traktowały młodzieżowych reprezentantów. Przedstawiciele robotników, rolników i uczniów zgłosili konkretne postulaty rozwiązania dotychczasowych problemów młodzieży: proponowano m.in. utworzenie młodzieżowych brygad usługowych, spółdziel-

ni pracy nakładczej, gdzie znalazłby zatrudnienie dziewczęta z Ośrodka Kształcenia Zawodowego, objęcie patronatem ZSMP budownictwa jednorodzinnego. Konferencja przyjęła uchwałę programową oraz stanowisko ZSMP w sprawie powołania Frontu Porozumienia Narodowego. Przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego ZSMP wybrano Romana Englera. Ma on 27 lat, jest absolwentem Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW; do tej pory przewodniczył miejskiej organizacji ZSMP w Łomży. Ełatowym wiceprzewodniczącym został Roman Szymt. Najtrudniej przebiegały wybory trzech wiceprzewodniczących społecznych. Choć wśród delegatów przeważała opinia, że dużo zdrowiej pracuje się społecznie, to wiele osób odmawiało kandydowania na te funkcje. Wiceprzewodniczącym do spraw środowiska robotniczego został Marek Humeńczuk, środowisko wiejskie reprezentował będzie Zygmunt Prusiński, a szkolne Małgorzata Cienkus.

NOWI WICEWOJEWODOWIE. Z dniem 18 listopada br. stanowiska wicewojewodów łomżyńskich objęli: Eugeniusz Mioduszeński — dotychczasowy sekretarz WK ZSL w Łomży oraz Zdzisław Truszkowski — były prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej.

ZDZISŁAW TRUSZKOWSKI. Urodził się 2 stycznia 1940 roku we wsi Choromany, województwo łomżyńskie, w rodzinie chłopskiej. Po ukoń-

ne zadanie uważam wypracowanie stałych form współpracy ze związkami zawodowymi: na zasadzie wspólnego ustalenia priorytetów i optymalnych rozwiązań. **EUGENIUSZ MIODUSZEWSKI**, urodził się 20 stycznia 1934 w Zambrowie, w rodzinie chłopskiej. Z wykształcenia inżynier rolnik, pracę magisterską pisał z pedagogiki. Pracował w oświacie jako nauczyciel, kierownik ogniska metodycznego i wizytator metodyk. Od 1974 roku w aparacie ZSL — jako prezes PK ZSL a następnie, do powołania na stanowisko wicewojewody, sekretarz WK ZSL. Przez wiele kadencji radny powiatowej i wojewódzkiej rady narodowej. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem XXX-lecia. Żonaty, dwoje dzieci.

NOWE ZASADY SPRZEDAŻY WIAZANEJ dla rolnictwa w Łomżyńskim. Decyzją wojewody zmniejszono relację 1:5 przy zakupie sprzętu rolniczego, którego cena wynosi powyżej 80 tys. złotych na 1:3, natomiast powyżej 200 tys. złotych na 1:2 w stosunku do sprzedanego żywca i innych produktów rolnych. Wojewoda ustalił również, iż Banki Spółdzielcze przy wydawaniu zaświadczeń będą uwzględniały sprzedaż żywca wieprzowego i wołowego od 1 października br. Jednocześnie podajemy teleksową informację Ministra Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej oraz Ministra Handlu



czeniu studiów dziennych w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie pracował jako stażysta w Zakładzie Mleczarskim w Piątnicy. Następnie został głównym technologiem w ZM w Ostrołęce, pełnił funkcję wiceprezesa do spraw produkcji i techniki w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Piątnicy, prezesa OSM w Kolnie, a od 1976 roku do nominacji — prezesa Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej w Łomży. Od dziesięciu lat jest członkiem PZPR. Żonaty, troje dzieci, mieszka w spółdzielczym bloku.

— W obecnej, zmieniającej się z dnia na dzień, sytuacji jakiegokolwiek szczegółowy program wydać się może co najmniej niewiarygodny. Niemniej w zarysie sprawy, które uważam za najważniejsze. 1. Podjęcie produkcji niektórych maszyn i urządzeń rolniczych w istniejących zakładach. Według mego rozeznania, nie czekając na centralne nadziały, możemy produkować w województwie na własne potrzeby dmuchawy do siana, rozdrabniacze paszowe, przetrząsacz-zgrabiarki. 2. Skierowanie potencjału Rejonowych Zakładów Melioracyjnych na pola łomżyńskie. 3. Bardziej zainteresować handel w pozyskiwaniu towarów na własną rękę. 4. W usługach i rzemiośle mocniej poprzeć gałęzie wytwórczości, których praca jest dla województwa najpotrzebniejsza.

Jako urzędnik nie mogę ingerować w plany samodzielnych przedsiębiorstw, ale Urząd Wojewódzki może stworzyć takie warunki, by były one najbardziej zainteresowane produkcją przez nas pożądaną. Za głów-

Wewnętrznego i Usług, ważną dla tych, którzy otrzymali przydziały przed wejściem w życie uchwały nr 229 (o sprzedaży związanej). Ministrowie precyzują m.in.: „Rolnicy indywidualni, którzy otrzymali imienny przydział na ciągnik lub inne maszyny rolnicze z terminem odbioru w IV kwartale br., a nie spełnili warunków dostawy produktów rolnych o wartości pięciokrotnie przewyższającej wartość przydzielonego sprzętu nie tracą przydziału z tym, że jego realizacja przesunęła się na okres po 1.02.1982, gwarantując cenę zakupu obowiązującą w chwili otrzymania przydziału. Rolnicy którzy nie zrealizowali przydziału nie ze swojej winy (np. brak maszyn) mają natomiast prawo do realizacji w IV kwartale br., a także po 1 stycznia 1982 na warunkach obowiązujących przed wprowadzeniem w życie uchwały o sprzedaży związanej”.

TOWARZYSTWO UNIwersyteTÓW LUDOWYCH powstało w Łomży. Na zebraniu założycielskim zwołanym z inicjatywy Zarządu Wojewódzkiego ZMW wybrano delegatów na II Zjazd Towarzystwa oraz Zarząd.

TELEWIZJA FRANCUSKA kręciła dla swego dziennika krótki film o działaniach i problemach związku zawodowego „Solidarność” w niewielkim mieście. Kamery zrobiły krótką wycieczkę po Łomży, zawiąły do siedziby Oddziału, ale najwięcej czasu i uwagi poświęciły Zakładowi Przemysłu Bawełnianego „Narew”.

WYJĄTKOWO SPRZYJAJĄCA

zdanie tygodnia

„Nasz naród jest jak wielokrotnie zgwałcona kobieta — ciągle krzyczy: NIE”.

(przyswojone)

myśl z atestem

„Zdolność rozróżniania tego, co możliwe, a co niemożliwe — odróżnia bohatera od awanturnika”.

(T. Mommsen)

JESIEN pozwoliła na zakończenie w terminie wszystkich prac polowych w rolnictwie. Minione tygodnie były również niezmiernie korzystne dla zbioru późnych roślin, dla przechowywania i przetwórstwa oraz gromadzenia pasz. Szacuje się, że zostało sporządzonych około 500 tys. ton kiszzonek, uparowano prawie 23 tys. ton ziemniaków. Rolnicy dostarczyli ogółem 265 153 tony buraków, pobrali już z cukrowni około 68 tys. ton wysłoków. Nie jest tak, niestety wszędzie. W rejonie działania Cukrowni Sokółów Podlaski, w gminach Andrzejewo, Ciechanowiec, Nur, Boguty, Zaręby Kościelne — zaległości w dostawach wysłoków dla plantatorów wynoszą 7 tys. ton.

KONKURS „BORYNA 81” ROZSTRZYGNIĘTY. Jury w składzie: Klemens Krzyżagórski — przewodniczący, Leon Janiczak (LSW), Piotr Kuncewicz, Stanisław Zagórski i Stefania Henczelowa (sekretarz) główną nagrodą postanowiło uhonorować pracę „Ściana wschodnia” (godło „Dziadek Prohor”), której autorami okazali się Marek Kusiba i Jerzy Muszyński z Białegostoku. Przyszło także osiem równorzędnych nagród, wyróżniając nimi reportaże: „Ballada o Wnuku Wincentym” (godło „Makaron”), Moniki Wysogład z Warszawy, „Tak mało w ludziach ludzkości” (godło „Mewa”), Witolda Pawłowskiego z Warszawy, „Ściędź” (godło „Lelek”), Michała Mońki z Warszawy, „Taniec ze świnią” (godło „Kabanos”), Kazimierza Siemieniaka z Białegostoku, „Zakładnicy” (godło „Constans”), Krystyny Koneckiej z Białegostoku, „Kolosy się rząda” (godło „Alfa”) Jerzego Daniela z Kielc, „Jeszcze będzie zabawa na naszej ulicy” (godło „Scypion”), Zygmunta Szycha z Tarnowa, „Żywią i bronią, czyli saga rodu Bartoszczy” (godło „Lotopis”), Ryszarda Janusza Bają z Warszawy. Uroczyste wręczenie nagród odbyło się już w nowej siedzibie redakcji, przy ulicy Świerczewskiego. Towarzyszyło mu spotkanie współpracowników i sympatyków pisma, na które przybyli m.in. prof. Stanisław Ehrlich, prezes Ludowej Spółdzielni Wydawniczej Leon Janiczak, red., Klemens Krzyżagórski, Jan Socha, Jerzy Bielecki i Włodzimierz Chećko, Piotr Kuncewicz, dyrektor Białostockiego Wydawnictwa Prasowego Romuald Łazarowicz, przedstawiciele władz administracyjnych i partyjnych województwa na czele z wicewojewodą Eugeniuszem Mioduszeńskim i I sekretarzem KM PZPR Mieczysławem Czerniawskim i liczne grono dziennikarzy na stałe związanych z „Kontaktami”. Jednocześnie zainaugurowało działalność jedynę w kraju Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka”, którego ideę poparli, ofiarowując zarazem pomoc, Zarząd Główny RSW, LSW, Białostockie Wydawnictwo Prasowe. Goście po raz pierwszy mogli też obejrzeć zbiory powstającego Muzeum Straszdeł. Demonów i Niesamowitości. Na zdjęciu: laureaci głównej nagrody, Marek Kusiba i Jerzy Muszyński w niezwyklejnym spotkaniu z demonem.

SPROSTOWANIE. W poprzednich „Zdarzeniach” zamieniono Zambrow na Grajewo, w informacji o książeczce mieszkaniowej wręczonej starszym ludziom. Chochlik drukarski przekreślił również datę śmierci Romana Dmowskiego: 6 II 1939 r. Czytelników przepraszamy.

pytanie drażliwe

Grupy operacyjne odkryły szereg nieprawidłowości w pracy administracji terenowej, handlu, jednostek gospodarczych, a nawet łamania prawa przez ich przedstawicieli. Jakże decyzje personalne podjął w tych przypadkach Urząd Wojewódzki?

Odpowiada Jerzy Zientara, wojewoda: — Po przyjęciu i zbadaniu przekazanych sygnałów, dyrektorzy wydziałów UW i odpowiednich pionów gospodarczych zobowiązani zostali do surowego i rygorystycznego wyciągnięcia konsekwencji służbowych i dyscyplinarnych w stosunku do wszystkich, wobec których zarzuty się potwierdza. W przypadku stwierdzenia przekroczenia prawa sprawy takie zostaną przekazane organom ścigania. Jednocześnie musimy podkreślić, iż drastycznych faktów do tej pory w województwie nie stwierdziliśmy. Obecnie, nie czekając na powrót grup operacyjnych, powołaliśmy specjalny system dla kontroli realizacji wniosków i zaleceń.



polski dylemat

KONTAKTY
6.XII.1981

W ostatnich latach byliśmy jako społeczeństwo usadzeni pod sztandarem jedności ideowo-politycznej i moralnej. Teza o jedności lansowana była z tym większym uporem i propagandowym krzykiem, im wyraźniejsze dokonywały się między nami podziały społeczne, ideowe i moralne, im dramatyczniejsze stawało się odchodzenie władzy od społeczeństwa, od prawdy, sprawiedliwości i demokracji, czyli od wartości, bez których nie może być socjalizmu, choć może istnieć władza, która socjalistyczną będzie się nazywać. Na wsi mieliśmy do czynienia z wieloma takimi procesami, które doprowadziły do dewastacji jej środowiska społecznego, do zaniku życia publicznego, upadku samorządu, do zaniku kontroli społecznej nad władzą, znacznego regresu w oświacie, do upadku kultury. Coraz większy stawał się rozpad społecznych więzi wsi; utrwały się podziały na funkcyjnych, bliskich władzy, z układami; na przodujących specjalistów z preferencjami w zaopatrzeniu w środki produkcji i kredyty oraz na tych średnich i biednych, bez układów, odstających swoją niezawodnością, często uczciwością, od silnych i obrotowych. Nie można nie mówić o tych sprawach, jeśli chcemy znaleźć rozwiązanie jednego z podstawowych dylematów zawartych w pytaniu: czy zaufać władzy, jej programowi i apelowi? W całym kraju, a także w środowisku wiejskim, społeczny i polityczny kontekst tego pytania jest nader skomplikowany. I na nic tu największe nawet zdumienie: skąd tyle wrogości i nieufności do władzy, która chce dobrze? Nie torują sobie drogi do społecznej świadomości ani serdeczne apele, ani ostre i stanowcze ostrzeżenia, ani racjonalne w istocie i słuszne poglądy; o zagrożeniu narodowego bytu, naruszeniu racji stanu, o chaosie politycznym i gospodarczym, który nas wciąga jak bagno. Społeczeństwo nie wierzy władzy, nie wierzy nadal jakby programowo, a źródła tej niewiary, jak się okazuje, są bardzo głębokie.

W środowisku wiejskim najpierw pogrzebano wszelką motywację społecznych działań: gmina, zajęta obsługiwaniem zwierzchniej władzy, przestała obsługiwać obywatela. Potem zniszczono w jego psychice poczucie trwałości własnego gospodarstwa. Utrwaliło się zaś poczucie krzywdy i niesprawiedliwości wobec wsi. Ci, którzy to sobie uświadomili — odchodzili. Jak wyliczają statystycy, codziennie z gospodarki wiejskiej do miasta uciekało na stałe pół tysiąca młodych ludzi — blisko 200 tys. rocznie. Dylemat wyboru między miastem a wsią nie jest bynajmniej sprawą wydumaną: dziś zrodził się strach — grozi nam głód!

Co robili ci, którzy pozostali? Co mogli robić w swoich wsiach, gdzie coraz mniej klubów i coraz gorzej wyposażone; brakuje wszystkiego, od przykładowych już wideł, gwoździ i kos; gdzie drastyczny brak książek i czasopism, lekarzy i nauczycieli, traktorów i nawozów? Nie czarujmy się, że ostatnie decyzje o sprzedaży wiazanej poprawiają nam w sposób zasadniczy zaopatrzenie kraju w mięso. (Rolnicy kupują telewizory, dywany, pralki, lodówki, ale czekali przecież głównie na środki produkcji; na maszyny, węgiel, materiały budowlane). Oby tylko — będąc dość kruchą zapowiedzią obfitości — nie stały się nowym źródłem jętrzeń. Brak prawdy o wsi w środowiskach masowej komunikacji, w świadomości robotnika, inteligenta i tak dostatecznie cięża na dzisiejszym stosunku miasta do wsi, coraz bardziej nieufnym i wrogim.

W świadomości, w sercach i umysłach młodych dokonywał się jednocześnie proces bolesniejszy od upadku gospodarki. Umordowani dniem powszednim — niewiele jeszcze o tym dziś mówimy. Ale tu przecież wysychało źródło — bodaj czy nie najważniejsze — wiary w socjalistyczne programy, władze, w socjalistyczne ideały. Przy całym nadmiarze i przesycie sloganowej, drętwej propagandy, zabrakło idei społecznej, która mogłaby młodzież porwać, w

którą można by wierzyć. A trudniej jest i będzie wypełnić serca wiara niż półki sklepowe towarami! Odrodzić wiarę w sens i znaczenie wspólnych działań to bardzo ważne. Najpierw jednak odrodzić musi się władza: w sposobach i mechanizmach jej sprawowania — na wszystkich szczeblach. Dotyczy to bardzo spójnych jej struktur — politycznej i administracyjnej: „upolityczniona” władza zbyt często działała w oparciu o kryteria niewiele mające wspólnego z ekonomiką, teorią zarządzania i organizacją. Więcej — z rzetelną polityką i propagandą. W takim modelu władzy prawdziwi gospodarze gminy stawali się interesantami urzędów i nieudacznego naczelnika. Sterty zaś biurokracji, nowe szyldy, nowe programy bez pokrycia, setki nowych — wbrew zapowiedziom — biurów, funkcji i zjawisko dojeżdżającej władzy gminnej po reformie

— szczególnie w odniesieniu do młodego pokolenia — pytanie-dylemat: „czy im« wierzyć”, czy wierzyć w socjalizm, skoro przez tyle lat jego ideały tak często sięgają bruku, skoro młodzi czują się upokorzeni i oszukani. Mówią dziś o tym wprost, pytając nie tylko o mieszkania, o szanse na normalne życie, normalną miłość, rodzinę, ale także pytając o źródła, przyczyny i mechanizmy upadku kraju. Powszechne rozczarowanie systemem funkcjonowania partii i państwa zawsze w prostej linii prowadzi do niewiary w siłę sprawczą ustroju, w jego dotychczasowe mechanizmy. Czas skończyć więc z retoryką — odpowiedź musi paść. Tym bardziej że ani ideologia partii, ani jej program i program rządu nie mają szans bez pełnego pozyskania młodego pokolenia; ono jest motorem sprawczym dokonującej się re-

zielone



fajerwerki

administracyjnej, były Kainowym dymem po kolejnych „zielonych fajerwerkach” dla wsi. Uznać więc trzeba za słuszne powszechne dążenie do sformułowania nowego modelu rad narodowych, prawowitych gospodarzy terenu, a nie parawanu demokracji. Czas po temu najwyższy, jeśli władza nie chce postępować za dziejącą się historia, ale pragnie mieć udział w jej tworzeniu. Chodzi też o to, abyśmy rozwiązali wszystkie problemy gminy, najlepszego modelu jej władzy, szukali wszyscy. Samorząd to nie płot, na którym wywieszamy plakaty i hasła o demokracji, a za nim, funkcyjna, urzędowa władza „daje pod rozwagę” i „załatwia”.

Nie ma dziś miejsca na podziały na tych od roboty i tych od myślenia. Samorząd musi powstać nie z mocy „ukazu” — tylko z woli ludzi. Musi odpowiadać ich potrzebom i nadziewać; ustawa powinna być jedynie gwarancją jego „zdrowia”. Jeśli będzie zdrowy samorząd, to i władza mniej będzie chorować.

Dziś przybiera dramatyczną postać

wolucji. Rewolucji za postępem, ale i — w znacznej mierze — przeciwko władzy, a raczej dotychczasowemu, zbyt wolno — jak na ten czas — zmieniającym się mechanizmom jej sprawowania.

Mówimy też głośno o tym, że młodzi są zdezorientowani, zagubieni. I to pewnie jest prawdą, ale prawdą jest również, że spore grupy młodzi są dziś po prostu zorientowane antypartyjnie i antysocjalistycznie. Niestety, jak dotąd, nie została z młodzieżą podjęta poważna rozmowa na te tematy. Jej ogromne zapotrzebowanie na wiedzę społeczno-polityczną i historyczną jest zaspokajane poza oficjalnym obiegiem informacji, poza oficjalnym kanałem wychowawczym, poza nurtem ideologicznych działań Partii. Jest to najbardziej widoczna konsekwencja kłamstw, jakimi karmiliśmy w ostatnich latach młodzież.

Tym bardziej patrzymy w zdumieniu, ja osobiście z dużą dozą szacunku i podziwu, na młodych rolników, którzy w ostatnich kilkunastu miesiącach pojawili się na arenie pub-

licznej jako działacze „Solidarności” RI, ZMW. Są ostrzy w sędach, czasem agresywni, twardzi, niekiedy nawet zdeteminowani w pilnowaniu spraw uznanych za najistotniejsze dla wsi i rolnictwa, dla ich własnej przyszłości. Nad dylematem niektórych naukowców, mających poważne zmartwienie, jak pogodzić socjalizm z polskim chłopem, zawiesili transparent z żądaniem uznania gospodarza indywidualnego za trwałą formę ustroju socjalistycznego. Zrodziło się w nich nowe poczucie godności i siły. Czy się to komuś podoba, czy nie, oni się już nie zgodzą na to, żeby ich głąskać po sercu, apelując o produkcję, bo kraj w potrzebie, a kopać po tyłku, bo ideologicznie i doktrynalnie nie pasują do ustroju. Te sprawy, choć z pozoru natury ideologicznej, są dla nich podstawowe. Nie ma w nich i nie będzie już zgody na to, żeby chłopą trzymać w przedsiönku socjalizmu, a tylko na okrasę wprowadzać do prezydium.

Dziś jako naród, jako Polacy, doświadczamy ogromu upokorzeń. To dojmujące uczucie przynęta chyba każde polskie serce. Wstyd — jak kiedyś powiedział Marks — może być uczuciem rewolucyjnym, jeśli zrodzony z niego bunt będzie niszczył stare, a budował nowe. Wydaje się, że jesteśmy w samym środku tego procesu, z tym że budowanie nowego, jak zawsze, przychodzi z o wiele większym trudem. Nekani kryzysem bez dna równocześnie poszukujemy swojej nowej tożsamości między potrzebą ładu, obywatelskiej dyscypliny, sprawnej, mocnej władzy, a głęboko patriotycznymi, rewolucyjnymi porywami. I jeśli w tym miejscu pragnę przywołać Norwida, to nie po to, by do końca się z nim zgodzić, ale by się nad jego sądem o nas głęboko zastanowić.

Otóż Norwid — w liście do Michałiny Zalewskiej z dnia 14.XI.1862 r. pisał tak:

„[...] Oto jest społeczność polska! — społeczność narodu, który, nie zaprzeczam, iż o tyle jako patriotyzm wielki jest, o ile jako społeczeństwo jest żaden.

Wszystko, co patriotyzmu i historycznego dotyczy uczucia, tak wielkie i wielmożne jest w narodzie tym, iż zaiste że kapelusz zdejmam przed ulicznikiem warszawskim — ale — ale wszystko to, czego nie od patriotyzmu, czego od narodowego, ale czego od społecznego uczucia wymaga się, to jest tak początkujące, małe i prawie nikczemne, że strach wspominać o tym!...

Jesteśmy żadnym społeczeństwem.

Jesteśmy wielkim sztandarem narodowym.

Może powiesz mi kiedyś ludzie serdeczni za te prawdy, których istotę powtarzam lat około dwanaście, ale gdybym miał dziś na szyi powrót, to jeszcze gardłem przywartym chrzypałbym, że Polska jest ostatnie na globie społeczeństwo, a pierwszy na planecie naród.

Kto zaś jedną nogę ma długą jak oś globowa, a drugiej nogi wcale nie ma, ten — o! — jakże utamny kaleka jest!

Gdyby Ojczyzna nasza była tak dzielnym społeczeństwem we wszystkich człowiek obowiązków, jak znakomitym jest narodem we wszelkich Polaka poczuciach, wtedy byłibyśmy na nogach dwóch, osoby całe i poważne — monumentalnie znamienite. Ale tak, jak dziś, to Polak jest olbrzym, a człowiek w Polaku jest karzeł. I jesteśmy karykatury, i jesteśmy tragiczna nicość i śmiech olbrzymi... Słońce nad Polakiem wstawa, ale zasłania swe oczy nad człowiekiem [...]”

Być może ten gorzki i dramatyczny w swoim wyrazie sąd jest krzywdzący. Ale patrząc na dzień dzisiejszy Polski, nie sposób go pominać.

KAZIMIERZ DŁUGOSZ
Redaktor naczelny
„Nowej Wsi”

nadzieje i wątplenia

postawy



pomnik; jest potrzebny choćby dla utrzymania ciągłości pokoleniowej. Własnymi rękami zniszczono pomnik własnych ojców 90 procent społeczeństwa napłynęło nowego; nie wiedzieli nawet, gdzie on jest. Mnie powiedział dopiero prof. Pawłowski; zaprowadził i pokazał: „Może kiedyś ktoś zechce tu dojść”.

Z SALI: — Co nie pozwoliło przyjść na pierwsze spotkanie przewodniczącemu Rady Narodowej? Zaproszeni byli przecież wszyscy, którzy czują się gospodarzami miasta i gminy.

FERDYNAND KOZERA: — W naszym mieście nic się nie zmieniło: masa narad, szkoleń, zebrań; robimy odnowę starymi metodami. Uważałem, że będzie to jeszcze jedno zebranie partyjne, z którego nic nie wyniknie. Zresztą, boję się prasy, bo nie zawsze uczciwie naświetla sprawę. Mam do czynienia ze zwaśnianiem społeczeństwa. Nie wybaczyłbym sobie, gdybym miał swój udział w jątrzeniu środowiska. Myślę, że się „Kontakty” nie obrażą.

„KONTAKTY”: — Nie ma powodów. Pytanie z listu: „Kto upoważnił pana do zapraszania na sesję Rady Narodowej przedstawicieli „Solidarności” z „Ursusa”, którzy zmienili ją w targowisko lub — jak kto woli — w cyrk. O ile wiemy, nie uczyniła tego ani Rada, ani jej prezydium, ani żadna z organizacji społecznych. Czy uważa pan, że miejscowe problemy rozwiąże komitet fabryczny „Solidarności” z „Ursusa”? Czy nie jest to manipulacja radnymi?”

FERDYNAND KOZERA: — To pytanie jest ubliżające dla mnie i dla robotników z „Ursusa”.

STANISŁAW ŻEBROWSKI: — Robią nam tylko złą opinię. Radni się oburzają, że przyjeżdżają, by ich pouczać. A co oni mogą nam pomóc? Możemy liczyć tylko na siebie.

Z LISTU: „Jak widzi łączenie roli doradcy „Solidarności” miejskiej i wiejskiej, lektora KW PZPR, wykładowcy WUML-u, przewodniczący MGRN-u?”

FERDYNAND KOZERA: — Jestem przede wszystkim doradcą. Nie widzę rozbieżności między „Solidarnością” a Partią, jeśli są wśród ludzi i reprezentują właściwie ich interesy. Przede wszystkim zaś jestem wrażliwym na problemy środowiska obywatela, który odzwierciedla interesy ludzi — w partii.

Z LISTU: „Czy jako dyrektor banku musi pan dorabiać wykładami w szkole, i to w godzinach urzędowania?”

FERDYNAND KOZERA: — Podjąłem się uczenia podstaw polityki gospodarczej w pomaturalnym studium połączonych na prośbę jego dyrektora; nie było wykładowcy tego przedmiotu. Jeśli ktoś myśli, że chodzi mi o pieniądze za prowadzenie tych dwu godzin, chętnie przekażę je na jakiś społeczny cel albo w każdej chwili zrezygnuję z lekcji. Wyjaśniam też, że oprócz wykształcenia ekonomicznego mam pedagogiczne, co upoważnia mnie do nauczania przedmiotów ekonomicznych.

PROWADZĄCY SPOTKANIE: — Czy pan dyrektor ma przestać wykladać?

SALA: — Nieee!

Z SALI: — Skąd te bezpardonowe pytania i czemu mają służyć?

„KONTAKTY”: — Jest to przecież spotkanie pn. „Bez pardonu”, wszystkie pytania dozwolone.

Z SALI: — Kiedy naprawi pan oberwaną rynnę, powodując zalewanie budynku NBP?

FERDYNAND KOZERA: — Jutro będzie powieszona.

Z GŁOWĄ W SZUFLADZIE

„KONTAKTY” — Z Zambrowa są latem autobusowe kursy turystyczne do Kamianki, stąd zaś nie, choć miejscowość leży w gminie wysokomazowieckiej.

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Tam znają możliwości: większe zakłady, własny transport. Natomiast kursuje autobus pociągowy i można zabierać się do ośrodka wypoczynkowego w Kamiance.

Z SALI: — Kto inwestował w ten ośrodek?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Środ-

tabędź w szukowanej koronie



ki otrzymaliśmy z Wydziału Sportu i Kultury Fizycznej UW, a inwestorem był UMIG.

Z SALI: — Z remontami, inwestycjami w mieście oszczędnie, a domki w Kamiance stoją całkiem zgrabnie!

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Przyznaję, że nie budowaliśmy tego, co było potrzebne, lecz to, co było można. Pieniądze były tak dziwnie poszufladkowane, że z górnej szuflady mogliśmy wziąć na Kamiankę, a z dolnej, na pilne inwestycje w mieście, nie.

BARBARA KRASOWSKA: — W SKR-ze wybudowano wiatę na kombajny, tyle że za niską; bżony nadal stoją pod gołym niebem.

ZBIGNIEW KACZANOWICZ (dyrektor SKR-u): — Wiatą była wybudowana w 1979 roku; a więc nie za obecnego zarządu. W protokole odbioru nie ma ani słowa, że obiekt jest nieprzydatny. Dopiero gdy sprowadziliśmy kombajny, okazały się za wysokie.

Z SALI: — Dlaczego obecny zarząd odcina się od poprzedniego i nie szuka winnych?

ZBIGNIEW KACZANOWICZ: — Nawet gdybyśmy chcieli ich rozliczyć, nie mamy podstaw prawnych.

„KONTAKTY”: — Ale wygląda na to, że jest potrzeba społeczna.

BARBARA KRASOWSKA: — Tym bardziej że poprzedni wicedyrektor jest w obecnym zarządzie SKR-u.

ZBIGNIEW KACZANOWICZ: — Nie wiem, czy to on budował; jeśli nawet, to tylko przez miesiąc, i wyjechał do Ameryki.

BARBARA KRASOWSKA: — Ale wrócił. Jest bogaty i może płacić.

„KONTAKTY”: — Prosimy naczelnika o wyjaśnienie sprawy.

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Zrobię to.

Z SZACUNKIEM DO ŚWINI

PIOTR BIENKOWSKI (rolnik): — Nie chcą wejść do wiaty bżony, wejść ciągniki i inne narzędzia. Zajmijmy się raczej budową naszej wielkiej mleczarni i zastanówmy się, do czego ona się przyda, jeśli na kilka lat zahamowana zostanie produkcja mleka. Kogo wtedy będziemy sądzić: naczelnika, wykonawcę, jakiegoś inżyniera?

BARBARA KRASOWSKA: — Skąd pan wie, że nie będzie mleka?

PIOTR BIENKOWSKI: — Bo chłopci wyrzynają cieleta, a nasze władze gminne nic to nie obchodzi.

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Ostatni spis wykazał zwyczaj hodowli bydła. A co do cielec: co mogliśmy zrobić? Wysłać do chłopów milicję, by strzegła ogonów; sami mieliśmy jechać i prosić: nie zabijaj, bo spadnie pogłowie! Wiesz nasza jest samorządna i robi, co chce.

ZYGMUNT LIPSKI: — A prezes GS-u nawet nie zauważył, że wzrósł mu skup cielęcych skórek?

WŁADYSŁAW SAMEŁKO (prezes GS-u): — Zauważyłem.

PIOTR BIENKOWSKI: — Dzisiaj udało mi się dostać kaszankę. Na kryzys dobre i to, bo wiadomo, że szynki nie będziemy jeszcze jedli przez 20 lat.

HALINA KONARZEWSKA: — To teraz chowaj świnię, a nie rżnij. Jak przyjechał do sklepu, to nie powiedział: „Dajcie mi najwyżej 10 deko, bo ja jestem ze wsi”. Tylko nabrał, ile się dało do samochodu. Trzeba wychować świnię, zdać je, to wszystko będziemy mieli, i nie mówić: „Mnie chów żywcą się nie opłaca”. A ten wziął i na barany się przerzucił!

PIOTR BIENKOWSKI: — A czy ja pani wziąłem choć jednego barana, że teraz tak mi wypomina? Świnię zdawałem już w latach pięćdziesiątych i na taką zniewagę nie pozwolę. Chcę przekonać całe społeczeństwo, że aby nie było u nas tak źle, jak jest, trzeba ruszyć głowami. Wtedy będziemy mieli dosyć wina, wódki, kaszanki, wszystkiego. Dlaczego pani się czepta, bo była w Ameryce? To niech samochodem jeździ, a nie na świnię się ogląda. Ja bym zlikwidował wszystkie pewki, niechby tak samo stała w kolejce.

HALINA KONARZEWSKA: — Ja bym w Ameryce dwa tygodnie, a pan — dwa lata, to pewnie przywiózł tych dolarów na wszystkie swoje barany, które tak chowa, zamiast świń.

PIOTR BIENKOWSKI: — Ja sobie wypraszam!

CZESŁAW JAKUBIK: — Modernizowano drogę białostocką. Stup stał na jezdni, z metr od krawężnika, nie można było się doprosić, żeby go przesunąć. Jak rozbije się autobus, to wtedy się zrobi? Jest regulowana rzeka Brok, z Mystek w kierunku Brzozek Brzezińskich. Zrobili tak, że lada moment wszystko może zalać woda. Znowu powiedzą, że beznadzi. Wystarczyłoby wziąć spycharkę i zrobić nasyp, bo zawaliły się brzozy. Muszą znowu kopać, spalać ropę, tracić czas. Ani kapki zmyślu organizacyjnego! Dyrektor SKR-u, który bierze wysoką pensję, mógłby pojechać, zobaczyć, co się dzieje. Trudno, by gospodarz pilnował jego wspaniałej ekipy. A przecież za to partactwo płacimy wszyscy. Naczelnik to już nie nie może...

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Ja się dziwię, bo przecież i Chrzanowski, i Jakubik, to jeden Urząd Miasta i Gminy, gdyż jest on instruktorem służby rolnej; odpowiada za rowy, melioracje, drenacje. Zamiast zapytać kierownika budowy, gdy był w terenie, czekał na wywołanie sensacji. Chciał wydać mi publicznie polecenie? A że się nasypy zawala, to sprawa przedsiębiorstwa, nie moja. Najwyżej większe koszty ponieście.

MIROSŁAW GREGORCZUK (ZSMP): — A czy pan, panie naczelniku, ma prawo rozliczyć tych zawodników?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Nie mam.

Z SALI: — Co my za gospodarze! Przecież z tego wszystkiego wynika, że nie gospodarzimy, a bałaganimy.

NA OŚLEJ ŁAWCE

„KONTAKTY”: — W Szkole Podstawowej nr 2 w Wysokiem uczniowie z roku na rok przybywa, a mury są te same. Umieszczono w niej jeszcze szkołę rolniczą. Część pomieszczeń zajmuje dyrektor na mieszkanie.

TADEUSZ SKIBICKI (inspektor oświaty i wychowania): — Identyczne problemy są w każdej szkole Wysokiego. Wystąpiliśmy z propozycją rozbudowy budynku szkolnego w Osipach Wandzinie, Kalinowie Czośnowie i dopiero wówczas Szkoły nr 2. Ale na razie Kuratorium milczy. Dyrektor szkoły mieszka w niej, bo to pomieszczenie mu się należy.

Zresztą wyprowadzenie go stamtąd nie rozwiąże żadnego problemu.

Z LISTU: „Czy dyrektor Kryński nie przeholował z ilością oddziałów w szkole zawodowej, którą uważa za pępek świata, jak Gierek Hutę „Katowice?”

JAN KRYŃSKI: — Nigdy nie będzie dobrze, jeśli Komisja Nauki i Oświaty w ciągu trzech lat swej kadencji nie znalazła czasu, by przyjść do szkoły liczącej 1/6 mieszkańców miasta. Naraz dowiedziałem się, że na sesji została podjęta uchwała w sprawie oświaty, gdy nikt z najbardziej zainteresowanych o niczym nie wiedział. Potem w piśmie do wojewody o zlikwidowanie jednego z kierunków było tyle merytorycznych błędów, że aż wstyd było czytać. Doszło do tego, że w sprawach szkolnictwa podejmują decyzję ludzie nie mający o nim zielonego pojęcia, nie znający nawet jego struktury.

MIROSŁAW GREGORCZUK: — Słabym był pan wykładowcą wychowania obywatelskiego. Wśród młodzieży jest taka apatia, taka apolityczność, że strach. Nie chce pracować społecznie m.in. dlatego, że szkoła nie dbała o wpojenie nawyku społecznej roboty. Nawet teraz mówią często, że nie będą pracowali społecznie, żeby nie mieć kłopotów z dyrektorem. Zresztą, co mówić o przygotowaniu do życia społecznego: spotkałem pańskich absolwentów w zakładzie pracy. Poziom ich przygotowania zawodowego jest żenujący.

JAN KRYŃSKI: — Za poziom praktycznej nauki zawodu odpowiada zakład, podpisujący umowę z uczniem.

Z SALI: — Instruktorzy są bez kwalifikacji pedagogicznych; zamiast uczyć, kaleczą umysły dzieciaków. Po co komu taka edukacja?

JAN KRYŃSKI: — Powiedziałem kiedyś, że wypuszczamy ze szkoły analfabetów, i to prawda. W ostatnich latach nastąpiło zastraszające obniżenie wyników nauczania. Zdają tylko nieliczni; ci, którzy coś umieją, i gdzie jest bardzo silna motywacja rodziców. W ubiegłym roku na 1000 uczniów mieliśmy tylko 24 synów i córek inteligencji i rzemieślników. Reszta to dzieci chłopskie.

ZA ZDROWIE „JAGIELLONKI”

MIROSŁAW GREGORCZUK: — Zresztą i po szkole młodzież nie ma co robić. Jestem przekonany, że wzrost przestępczości wśród młodzieży jest wprost proporcjonalny do działalności Domu Kultury. To logiczne, że nie mając co ze sobą zrobić, idą do „Jagiellonki”. Tam złopię i wtedy funkcjonariusz ma do mnie pretensje. Chciałem się dowiedzieć, co się robi w sprawach remontu Domu Kultury.

STANISŁAW BORZUCHOWSKI (dyrektor Domu Kultury): — To stary frazes, że jak nie ma co robić, to chlam gorzałę. Jak ktoś chce pracować, to umie również wykończyć czas wolny. A roboty z remontem mamy po uszy; ja biegam za materiałami, a instruktorzy ułatwiają sprawy administracyjne. Chcę przypomnieć, że już kiedyś organizowaliśmy dyskoteki dla młodzieży i bardzo szybko z nich zrezygnowaliśmy, bo nie można było sobie poradzić. Przeszliśmy na wieczorki; grał zespół, ale też nie opłacało się. Dwa razy w tygodniu młodzież będzie miała Dom do własnej dyspozycji.

MIROSŁAW GREGORCZUK: — Nie dajmy z powrotem wpędzić się na drzewa! Dyskoteki, prymitywna forma rozrywki, muszą być! Na lukusy nas nie stać. Kiedy wreszcie zakończy się partanina wokół Domu Kultury, bo przecież pracami remontowymi tego nazwać nie można.

STANISŁAW BORZUCHOWSKI: — Roboty zewnętrzne sfinalizowaliśmy, trwają prace wewnętrzne. Dalsze są uzależnione od otrzymania węgla: jeżeli dostanę, roboty zakończą się z kwietniem przyszłego roku. Proszę, by miejscowe władze pomogły mi w utrzymaniu opału.

Z SALI: — Rada programowa Domu Kultury od 14 marca czeka, żeby był pan łaskaw przyjść na zebranie.

STANISŁAW BORZUCHOWSKI: — Wiem. Po remoncie mogę przyjść.

SŁAWOMIR PRONIEWSKI: — Mnie denerwuje, że młodzieżowcy za wszelką cenę chcą tu stworzyć

pozory swojej dobrej roboty. Ale niech powiedzą konkretnie, co zrobili. Mamy w szkole koło ZSMP, ale od momentu powstania z zarządu jeszcze nikogo nie było. Podobnie wygląda sprawa z harcerstwem. Kiedy byłem sekretarzem zarządu powiatowego ZMW, zrobiliśmy dużo: wieczorki, „Każdy kłós na wagę złota”. A teraz?

MAREK SKARZYŃSKI (przewodniczący ZMG ZSMP): — Nie za bardzo mieliśmy po co tam iść, bo organizacja w szkołach jest od niedawna. Teraz zaś dyrektor mi powiedział, że nie widzi szans jej rozwoju, bo nauczyciele nie chcą pracować społecznie. My zaś nie mamy pieniędzy, by opłacić zajęcia z młodzieżą po lekcjach. Wniosek prosty: nie ma nauczycieli-społeczników. Zadowolony jestem z pracy koła ZSMP w Studium Mleczarskim. Do pewnego czasu pan, panie Proniewski, opiekował się tą organizacją; wówczas nic nie było można. Pytając kogoś o pracę trzeba najpierw powiedzieć, co sam zrobiłem. Nikt nie może też jakoś przypomnieć sobie pańskiej „dobrej roboty” w ZP ZMW.

W Osipkach Kolonii i Miodusach Wielkich kluby nie pracują tylko dlatego, że klubowe nie wypełniają swoich obowiązków. Przychodzą co drugi-trzeci dzień. Młodzież proponowała zatrudnienie nowych pracowników. Czy będzie to możliwe?

WŁADYSŁAW SAMEŁKO: — Poleciłem skontrolować pracę klubowych, zarzuty potwierdziły się. W najbliższym czasie zorganizujemy

kontakt z księdzem i na cmentarz będzie doprowadzona woda, a wody opadowe będą odprowadzane. Staralem się rozwiązać problem bazy usługowej dla rolnictwa...

JAN KRYŃSKI: — Władze nasze są nieudolne, co widać chociażby po sesjach Rady Narodowej. Naczelnik szamocze się, ale wszystkiego sam nie uciągnie.

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Na sesjach mówi się o wszystkim, tylko nie na temat. Radni nie czują swojej roli i dlatego wcześniej wychodzą. Kiedyś był porządek: nikt nie uciekał, zapadały odpowiednie uchwały. Mówiło się o niezaradności władz gminnych. Po części jest to prawda. Choćby sprawa dysponowania węglem. W zimę stulecia 1979 roku Chrzanowski mógł z dyrektorami zakładów o piątą zrobić naradę, żeby o ósmej wszyscy byli z samochodami oraz ludźmi i szybko rozwieźli opał do zainteresowanych. A dziś wielki problem, bo dla Miejsko-Gminnego Domu Kultury potrzeba kilkanaście ton węgla, i musi o tym decydować aż wojewoda. Społeczeństwu wydaje się, że miejscowa władza jest niezaradna, a do czego teraz sprowadza się nasza rola: sprawiedliwie podzielić to, co otrzymujemy, choć z góry wiadomo, że będzie o wiele mniej niż potrzeba.

„KONTAKTY”: — Jak przewodniczący Rady Narodowej patrzy na to, że radni umykają z obrad?

FERDYNAND KOZERA: — Obrady przeciągają się do godzin popo-

wódkich; te mówią, że są niewładne, bo wchodzi trzy „S”, a LPB: że nie interesuje ich Wysokie Mazowieckie. Jak, po reformie, widzi naczelnik rolę władz gminnych w rozwiązywaniu tego typu problemów?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Sesja WRN-u, najwyższa władza w województwie, przyjęła plan budownictwa mieszkaniowego na 80 tysięcy metrów kwadratowych. Natomiast LPB — tylko 52 tys. I cóż ja mogę na ten temat więcej powiedzieć? Dziś na przedpołudniowym spotkaniu w Łomży upominaliśmy się: budynek nr 17 musi wejść do realizacji! Co będziemy robić dalej: dobijać się, by na bazie grupy LPB powstał samodzielny oddział tego przedsiębiorstwa, z rozszerzeniem jego zakresu działania m.in. o budownictwo rolnicze. Wykonywałby on prace nie tylko dla naszej gminy, ale dla całej południowej części województwa.

„KONTAKTY”: — Powiedział pan: „będę się dobijał”. Do kogo?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Do władz wojewódzkich.

„KONTAKTY”: — Czy ma pan wstępną choćby obietnicę, że jest to realne?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Nie. Jest to sprawa przyszłościowa, i dopiero wtedy trzeba będzie rozmawiać z Łomżyńskim Przedsiębiorstwem Budowlanym, jako samodzielną jednostką.

„KONTAKTY”: — Według jakich więc zasad działają władze gminne? Czy mają ustaloną hierarchię potrzeb, gdy wiadomo, że nie da się załatwić zbyt wiele?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Ustaliśmy taką kolejność: wyżywienie, budownictwo mieszkaniowe, opieka zdrowotna, oświata.

STANISŁAW ŻEBROWSKI: — Realizujemy także ideę frontu porozumienia narodowego. Spotkaliśmy się niedawno z przedstawicielami stronnictw politycznych, by znaleźć wyjście z nabrzmiałych trudności. „Solidarność”, miejska i wiejska, związki branżowe, autonomiczne, organizacje młodzieżowe, jeśli cokolwiek dobrego chcą zrobić dla społeczeństwa, ich wszystkie starania są i będą popierane.

WACŁAW BRUSZEWSKI: — Reorganizacja administracyjna nic nam nie dała; straciliśmy tylko. Staliśmy się taką samą gminą jak Czyżew czy Szepietów. Łomża, kilka lat temu prawie takie samo miasto jak Wysokie, wyszła na tym z zyskiem. Skorzystał też Zambrów, a myśmy tylko poszerzyli o 20 metrów chodnik w kierunku Zambrowa. W dalszym ciągu mamy duże powiązania z Białymstokiem i wiele osób jest zainteresowanych, by doń wrócić. Proponuję, by postulat ten zgłosić na prezydium Miejsko-Gminnej Rady Narodowej! (Oklaski).

FERDYNAND KOZERA: — Nie czuję się kompetentny do wypowiedzi na ten temat.

WACŁAW BRUSZEWSKI: — Mimo to proszę ten postulat zgłosić na sesji Rady Narodowej.

STANISŁAW ŻEBROWSKI: — Popieram ten wniosek: Białystok jest większą aglomeracją, prężniejszą, lepiej zaopatrzoną.

Z LISTU: „Trzeba w Wysokiem Mazowieckiem utworzyć Komitet Społeczny i nie patrzeć na dotacje, bo Wysokie to nie Zambrów i na pewno ich nie dostanie. Nikt nie zbiednieje, jeśli da, na przykład, sto złotych na cele społeczne, a fundusz na pewno zaowocuje.

Z SALI: — A kto będzie zbierał? Kto dzielił? Czy ktoś nie nabije sobie kabzy i gdzie nie pryśnie?

„KONTAKTY”: — Byliśmy tylko pośrednikami między naszymi Czytelnikami a władzami miejsko-gminnymi; w ich imieniu wszystkich te pytania. Mimo dwukrotnego „seansu” nie wyczerpaliśmy wszystkich problemów nurtujących mieszkańców, wielu ledwo dotknęliśmy. Mamy jednak nadzieję, że z tych publicznych rozmów jest korzyść społeczna: pokazały one w całej ostrości wszystkie sprawy, które domagają się rozwiązania, „upuściły zlej krwi”, oczyszczając atmosferę. I teraz łatwiej będzie pospólnie podjąć zbiorowe starania, by zmieniło się na lepsze. Tym bardziej, że „Bez pardonu” zmusza do nasłuchu także władze wojewódzkie.

kontakty kontaktów

5
KONTAKTY
6.XII.1981

W odpowiedzi na krytyczną notatkę zawartą w „Śpieciach” z numeru 44 „Kontaktów”, dotyczącą jakości twarogu Zarząd Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Wysokiem Mazowieckiem wyjaśnia:

Każda partia twarogu wysyłana do detalu, jest oceniana przez laboratorium zakładowe wg PN 68/A-86300, a laboratorium nie stwierdziło, że wysyłany twaróg nie odpowiada wymogom obowiązującej normy.

Z uwagi na krótki okres przydatności twarogu do spożycia (48 godzin) i obowiązującą temperaturę przechowywania (do 10 stopni C) twaróg jest często nieodpowiednio przechowywany w placówkach sieci detalicznej, gdzie niejednokrotnie temperatura pomieszczeń sięga 20 stopni C. Jednocześnie informujemy, że kwasowość twarogu, dopuszczalna w normie do 115 SH, dla niektórych konsumentów jest wyczuwalna jako „kwaśny” i stąd wystąpiło narzekanie konsumenta.

Nadmieniamy, że krytyczna uwaga potraktowana została z dużą powagą. Zarząd Spółdzielni dołoży maksimum wysiłku na rzecz utrzymania produkcji artykułów mleczarskich w wysokiej jakości.

Prezes Zarządu
EDWARD SZAFRANOWICZ

Od redakcji: Zwłaszcza dekada lat siedemdziesiątych udowodniła nam, że normy można dokrecać do granic wytrzymałości klientów. W liście tłumaczy Pan kwasowość sera złymi warunkami magazynów w sklepach. Podczas spotkania „Bez pardonu” w Wysokiem Mazowieckiem — różną jakością dostarczane go przez rolnika mleka. Jedno wyjaśnienie przeczy więc drugiemu. Dziękujemy jednak za obydwie, jak również za potraktowanie niniejszych uwag „z dużą powagą”.

*

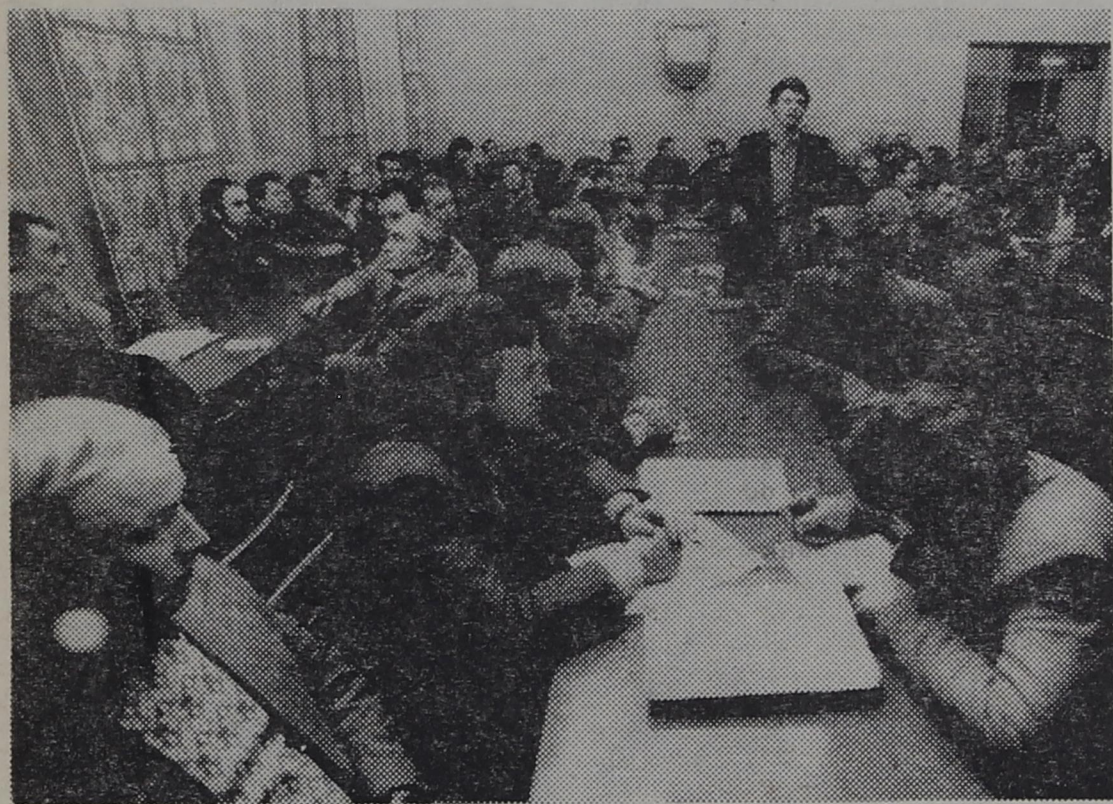
W sklepie we wsi Cieciorzy (gm. Turośl) prowadzona jest sprzedaż artykułów spożywczych i gospodarstwa domowego. Dziwne w pracy tego sklepu jest to, że aby coś tam kupić trzeba mieszkać we wsi Cieciorzy. Z innych okolicznych wsi mieszkańcy mają zastrzeżoną sprzedaż, mimo że jest to najbliższy dla nich sklep i do pewnego czasu byli tam obsługiwani. Odległość do tego miejsca ze wsi Siwiki wynosi 1—2 km, natomiast do innych dużo więcej (do Dobregolasu — 9 km, do Zbójnej — 13 km). Trudno jest jeździć po chleb 9 czy 13 kilometrów. W sklepie pracuje ekspedientka oraz dwóch mieszkańców wsi Cieciorzy, którzy stoją obok niej i dyktują komu ma sprzedać i co, a komu się nie należy, bo jest mieszkańcem innej wsi. Do tej pory w żadnym sklepie nie widzieliśmy podobnych zwyczajów, dlatego też prosimy o interwencję w tej sprawie.

Mieszkańcy wsi Siwiki
(21 podpisów)

*

Szanowny Panie Redaktorze, zasylam Panu i całej Redakcji jak najlepsze pozdrowienia z uroczej Szczawnicy. Jednocześnie ślę taką oto wiadomość: na starym cmentarzu szczawnickim znalazłem grób architekta Hilarego Koreckiego — jak głosi napis na pomniku — „gubernjalnego budowniczego miasta Łomży”, który zmarł 12 sierpnia 1867 r. w wieku lat 42. Będę wdzięczna, jeżeli ta moja informacja ukaże się w „Kontaktach”, ku pamięci młodej generacji Łomżan — aby będąc kiedyś na drugim krańcu Polski odwiedzali zapomniany grób tego, który przed laty budował nasze miłe i kochane miasto.

Z poważaniem
GENOWEFA CHYCZYŃSKA



spotkanie we wsi, żeby mieszkańcy zdecydowali, kto ma prowadzić klub.

Z SALI: — Z kultury chleba nie napieczemy, obudźmy lepiej samorząd.

KRÓL W ONUCKACH

Z LISTU: „Co konkretnie zrobił pan Kozera dla miasta i gminy jako przewodniczący Rady Narodowej?”

FERDYNAND KOZERA: — Staralem się uruchomić i zaktywizować produkcję. Byłem osobiście zaangażowany w projektowaną budowę zakładów „Inco”, ale jest to przegrane i może być realne dopiero w latach 1995—96. Staralem się zorganizować jeszcze jedną spółdzielnię, konkurencyjną dla już istniejącej, by dać więcej miejsc pracy dla miasta i ograniczyć zawyżanie cen w starej spółdzielni. Staralem się, żeby przetwórcia owocowo-warzywna oderwała się od zakładu w Białymstoku, który traktuje ją po macoszemu: w składzie samorządu pracowniczego nie ma ani jednej osoby z naszego miasta. Zaproponowałem więc założenie naszego zakładu, by wybrała własną radę pracowników. To jest moje trzecie konkretne działanie. Wspólnie z „Solidarnością” podjąłem sprawę przekazania młynów państwowych w Wysokiem Mazowieckiem i Wólce w ręce prywatne, co pozwoli wykorzystać w pełni moce produkcyjne; niewiele tutaj mam sukcesów. Staralem się, żeby plan zagospodarowania miasta i gminy był właściwy i zgodny z życzeniem mieszkańców. Wniosłem cały szereg uwag i sądę, że teraz odzwierciedla pragnienia mieszkańców. Ponadto zająłem się węzłem drogowym w kierunku Zambrowa; w wyniku starań został przedłużony o 20 metrów chodnik za ulicę Akacjową oraz poszerzona została droga do Zambrowa. Ponadto wszedłem w

kontakt z księdzem i na cmentarz będzie doprowadzona woda, a wody opadowe będą odprowadzane. Staralem się rozwiązać problem bazy usługowej dla rolnictwa...

Z SALI: — A nie mogą przespąć się pod sklepem w kolejce?

FERDYNAND KOZERA: — Jest i ważniejsza przyczyna. Radni są obecnie poddani ogromnej presji, wywieranej m.in. przez osoby zaproszone i inne, które chciałyby załatwić sprawy racjonalnie, zgodnie z porozumieniami gdańskimi, szczecińskimi, ustrzyckimi. Nie zawsze jest to możliwe, bo ciągle jeszcze musimy się borykać z przepisami, hamującymi odnowę. Nie każdy radny wytrzymuje to napięcie.

CZESŁAW JAKUBIK: — Musimy przede wszystkim zabiegać o autentyczne uprawnienia dla Rady Narodowej jako lokalnego samorządu. To ona powinna dysponować pieniędzmi, a nie Urząd Wojewódzki. Przecież teraz naczelnik jest tak rozłożony, że naprawdę nic nie może.

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Istotnie powinno być tak: dostajemy fundusze i Rada decyduje, na co je przeznaczyć, a nie szczebel wojewódzki.

MIROSLAW GREGORCZUK: — Nie ma żadnej komunikacji radnych z wyborcami, nie mam pojęcia, jak wygląda sesja. Ta Rada, którą ja wybrałem, co prawda w ciemno, mnie unika.

FERDYNAND KOZERA: — Wśród naszej młodzieży pracuje radny Skarżyński, przewodniczący ZSMP.

TRUCHT O LASCE

„KONTAKTY”: — Udowodniono tu, że budownictwo mieszkaniowe w Wysokiem Mazowieckiem jest w najgorszej sytuacji w kraju. Czyżby starania u władz woje-





Ta cisza zdradza chorobę. Niczym makiety wyglądają — na tle sielskiego, jesiennego krajobrazu otaczających je pól — wytwórnie hałasu, smrodu i kurzu. Grajewa stąd prawie nie widać. Schowane w dolinie, żyje własnym rytmem kolejkowych utrapień, jakby się chciało wyizolować, bo mieszkający w nim ludzie przestali ufać w życiodajne możliwości wspianych instalacji, zamontowanych w dzielnicach przemysłowej.

Tak zresztą jest w całym kraju. Wszystko chyba wydało się ludziom uludne, nieistotne, poza zdobywaniem tego, co uważane bywa jako niezbędne do życia. Niemal tego, więc przechodzenie na niższy szczebel indywidualnej konsumpcji dóbr, poza oczywistym brakiem uczucia satysfakcji, zajmuje tyle energii i

**HENRYK
GAŁA**

trzeba ją klepać

czasu, że prawie ich nie starcza na produkcję innych, a nawet takich samych, dobroci. Masowość owego złażenia po drabinie, czyni zjawisko niebezpiecznym. Łatwo o wypadek, jak to w tłoku. Przy czym znaczna część lokatorów drabiny wcale nie chce schodzić; stąd na niektórych szczeblach tłok grozący ich złamaniem, na innych zaś — wyjątkowo przestronnie. A ilu — trzymając się rękami wyższych szczebli i mając nogami — wrzeszczy, że niższego już nie ma, że w dole już tylko dziura bez dna. Jak dla kogo. Wszystkim jednak doskwiera to właśnie zsuwanie się w dół, brak widoków na ruch w przeciwnym kierunku. I w tym największa bieda. Na razie można się tylko domyślać jej przyszłego wpływu na nasze życie. Trzeba ją sobie wyobrazić i spróbować uprzedzić, nie wpuścić za bramę.

Idąc ulicą wzdłuż ogrodzenia Zakładów Płyt Wiórowych podziwiam obcość tej konstrukcji w sielskim pejzażu. Narasta we mnie głód tradycyjnych objawów funkcjonowania takich instalacji: dymu, pary, świstów, odgłosu toczących się kół... Przyzwyczajenie naprawdę jest drugą naturą człowieka, choć można się przyzwyczaić także do niehałaśliwych i bezwonných fabryk oraz czystych (!) ścieków. My jednak nie mieliśmy okazji do nabrania takich przyzwyczajeń, choć właśnie grajewskie „Płyty” wprowadzenie do tych nawyków dać miały.

W budynku administracji, szukając sekretariatu dyrektora naczelnego, o drogę pytam napotkaną kobietę. W dłoni wskazującej kierunku zauważam jakieś pudełko. Identyfikacja leży na biurku sekretarki — z burej tektury odczytuję, że są w nim rajstopy. Z takim samym pudełkiem wchodzi do sekretariatu jakaś pracownica.

Dyrektor może przyjąć mnie zaraz. — Później jest posiedzenie naszego zespołu do spraw reformy, a to może potrwać dłużej — mówi Jan Kowalski i zaprasza do siebie. Psuje mi tym plan (rozmowę z nim przewidziałem dopiero na zakończenie pobytu w Zakładach), ale trudno. Zanim dostaniemy herbatę, ustalamy, że znamy się telefonicznie sprzed kilku lat, kiedy — patronując w Łomży pewnym inicjatywom — „załatwiałem” u dyrektora Kowalskiego płyty wiórowe, które posłużyły do częściowego przekształcenia hali targowej w centrum plastyki z polimerową wystawą ceramiki.

— Dawne czasy, z okresu rozruchu. Przez minione cztery lata przeżyliśmy tutaj niejedno.

— No, właśnie, ale czy uzyskaliście już pełny rozruch?

— Produkcję na docelowym poziomie?

— Tak, słyszałem bowiem, że dotychczas się to nie udało.

— Nieprawda, było kilka takich miesięcy. Później czegoś tam zabrakło i trzeba było zjechać z planem.

— Słynne korekty planu.

— Racjonalna konieczność, przynajmniej w naszych warunkach, no i dla dobra tego tysiąca ludzi w zakładzie. Zakład nasz, jak wiele innych, powstał w latach siedem-

dziesiątych, jest bardzo silnie związany z gospodarką krajów kapitalistycznych. Na początku, poza ludźmi, miejscem i głównym surowcem, wszystko było z Zachodu, a kłopoty z dewizami, choć skrywane przez władzę, zaczęły się zaostrzać na początku drugiej połowy minionej dekady, kiedy zaczęliśmy właściwie produkować.

— Trudne dziecko?

— Tak, ale potrzebne. Zakład powstał w celu zlikwidowania importu płyt wiórowych. Sami nie nie eksportujemy, więc w potrzebach dewizowych jesteśmy na utrzymaniu państwa. I będzie tak w przyszłości. Gdyby przemysł państwowy eksportował meble wykonane m.in. z naszej płyty, wówczas byłibyśmy bliżej miejsca zarabiania dewiz, ale jedynie bliżej.

— Mówił pan, że na początku wszystko, jeśli idzie o technikę, pochodziło z zagranicy. Czy są w tym względzie jakieś zmiany?

jak daleko można w tych dziedzinach zmniejszać potrzeby?

— Właśnie technologia wyznacza granicę, i to zarówno w odniesieniu do importu, jak i do komponentów pochodzenia krajowego. Reszta zależy od nas, przede wszystkim — od jakości pracy wydziałów remontowych, chociaż ta nazwa już do nich nie pasuje. Są to wytwórnie części zamiennych, zespoły projektujące nowe zastosowania dostępnych u nas części i mechanizmów, inne materiały i rozwiązania konstrukcyjne.

— Skrzyżowanie „złotej rączki” z metodą „uszczelki”?

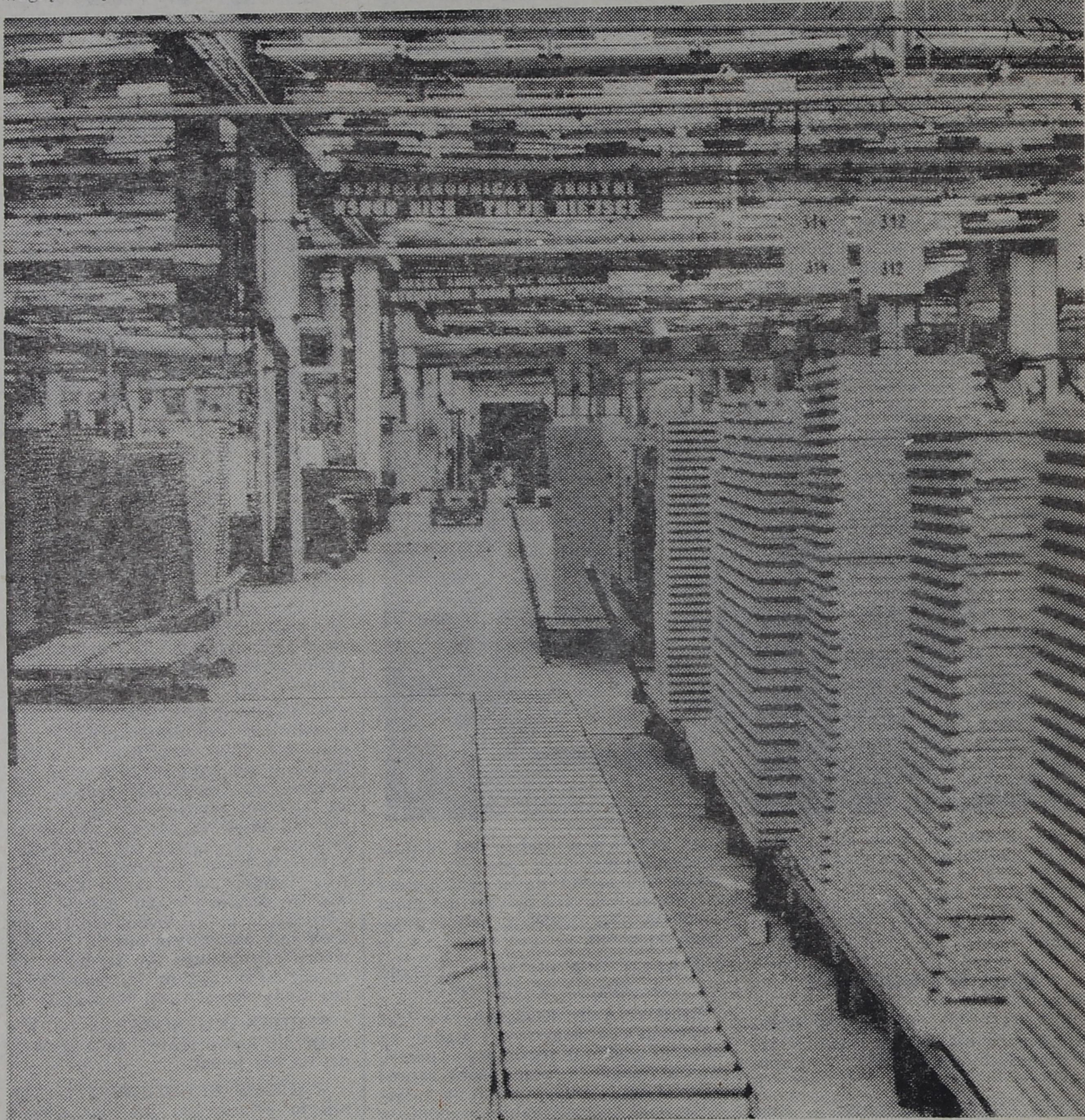
— Zgoda, ale dzięki temu fabryki mebli jeszcze trochę produkują.

— Jeszcze. Jak długo?

— Nie wierzę, aby doszło do najgorszego, do zamrożenia przemysłu, bo energia jest tu sprawą decydującą. Naprawdę tak niewiele trzeba, abyśmy przetrwali: trochę opamiętania. Mamy też świadomość,

nie nigdy, a jest trudniej, choć bieda, jak się to mawia, nie zagląda wam jeszcze w oczy. Żeby jednak wytrzymać narastanie trudności, pokonywać je, potrzeba wyjątkowo zgranego kolektywu, a macie składaną ludzką. Do anegdoty przeszły historie o rozkradaniu różnych, niekiedy absurdalnie niepotrzebnych na co dzień, przedmiotów i części urządzeń.

— Tak było i nie ma sensu tego ukrywać. I choć nie twierdzą, że nasza załoga to same aniołki, tamte sprawy należą do przeszłości. Na drobne, a bardzo uciążliwe kradzieże ludzie sami wymyślili sposób: zamalowywanie wszystkiego, co błyszczało. Zabieg poskutkował. Nie wiem, po co ktoś ukradł element optyczny z urządzenia fotokomórkowego; wiem natomiast, że ponad dwa tygodnie trwająca przerwa w pracy i jej finansowe konsekwencje dla załogi ukróciły tego rodzaju wandalizm. Fluktuacja części nie-



— Musieliśmy coś przedsięwziąć, aby zaradzić malejącej ilości przyznawanych nam dewiz. Potrzeby to nie tylko części zamienne i narzędzia, ale wiele składników surowcowych, takich np., jak kleje, laminaty. Można było ograniczać produkcję, ale nikt nie pomyślał o uruchomieniu zakładów. Bez większych szkód przetrwalibyśmy zimą 1979/1980, więc walka z ograniczeniami i przeciwnościami to dla nas nie nowina. Obecna sytuacja również utrudnia produkcję, kierowanie Zakładami; w niektórych przypadkach odsuwa sprawy produkcji na dalszy plan, np. wtedy, gdy do zakładowego kiosku czy bufetu trafiają jakiegokolwiek dostawy; ale są to jedynie nowe trudności, które musimy przezwyciężyć.

— Przecież to właśnie są najbardziej jaskrawe przejawy kryzysu, czyli biedy.

— Tak, tylko, jak mówiłem, u nas kryzys zaczął się wcześniej. Ale nawet i dzisiaj musimy otrzymywać określone kwoty walut zachodnich, bo inaczej staniemy, a wtedy słowo „bieda” będzie chyba za słabe, żeby określić skutki sytuacji.

— Rozumiem, że za dewizy kupować trzeba to, czego nie można zdobyć w inny sposób. Ale przecież są ja ta instalacja i technologia są, mówiąc skrótnie, zagraniczne, więc

że nasza produkcja jest ważna, ale nie najważniejsza; uznajemy pierwszeństwo potrzeb powszechnych.

Mamy opracowanych kilka wariantów pracy zakładu w różnym stopniu ograniczenia. Zdarzały się już nawet „próby” takich sytuacji, kiedy np. w kwietniu stanął cały wydział z braku papieru do laminowania; w innym okresie zabrakło matryc do pras. Wtedy dokonaliśmy remontów, które zazwyczaj robimy latem.

— Czy papier i matryce pochodzą z importu?

— Nie, produkujemy je w kraju. Wie pan, gospodarka to system naczyń połączonych. Import i eksport włączają go w inne układy; mogą przyspieszać rozwój niektórych dziedzin, aktywizować inne, ale — generalnie — winny go wspierać, a nie rujnować. Jak jest to złożony i czuły system, niech zilustruje przykład. Należymy do pozeraczy energii. W naszej branży są przed nami tylko wytwórnie płyt pilśniowych. I właśnie energii moglibyśmy zaoszczędzić bardzo wiele: przez takie zaplanowanie dostaw drewna, aby podczas leżakowania obniżyło wilgotność do jakichś 60 procent. Teraz suszymy je przy pomocy energii aż do 2 procent wilgotności.

— Łatwo w „Płytach” nie było

wykwalfikowanej załogi była tak duża, że praktycznie co dwa lata przychodzili całkiem nowi ludzie. Jeszcze w ubiegłym roku mieliśmy 30-procentową wymianę tych pracowników. A mimo to oddziaływanie tych, którzy pracują tu dłużej, jest ogromne. Bez uprawiania fałszywej propagandy powiedzieć muszę, że ten prawie tysiąc ludzi, na różnych stanowiskach, w różnych związkach, partiach, Zakłady jednoczą.

Nie jestem pewien, czy tych akurat słów użył dyrektor Kowalski, ale z odczuciem takiej wypowiedzi wyszedłem z jego gabinetu. Miałem przy tym wrażenie, jakby krępowały go jego własne sformułowania. Nie dziwnego zresztą, bo jakby z plakatu wzięte. — Tacy wyjątkowi ci ludzie, czy tacy zwyczajni? — zastanawiam się czekając na kogoś, kto miał mi towarzyszyć w przyglądaniu się pracy „tej wspaniałej załogi na jej wspaniałych maszynach”.

Gdy sekretarka szuka telefonicznie Suwryda, Konopki lub Karasiewicza, wdaję się w rozmowę z, oczekującą na przyjęcie u dyrektora, pracownica.

— Szybko pan wyszedł, teraz ja muszę iść — nerwowo przekłada z ręki do ręki kartonik z rajstopy.

— Pewnie jakaś niemiła sprawa?

— Nie, zwyczajna prośba, ale ja nie umiem i nie lubię chodzić do dyrektora.

— Przecież to całkiem miły człowiek — wskazuje na drzwi dyrektorskiego gabinetu.

— Oczywiście, wiem — odpowiada szybko — ja tu pracuję prawie od początku. Ale to przecież szef.

Sekretarka znajduje jednego z poszukiwanych dla mnie opiekunów, Władysława Karasiewicza. Umawiam się z nim w holu, a wychodząc dopytuję: — To ktoś z „Solidarności”?

— Sekretarz Komitetu Zakładowego — odpowiada sekretarka — ale jest też w „Solidarności”.

Schodzę na dół. Z tego, co dotychczas usłyszałem i zobaczyłem, biedy nie widać. Może przyjdzie zimą, ale czy wówczas te wszystkie dotychczasowe zabiegi zagrozą jej drodze?

Władysław Karasiewicz jest w Zakładach zastępcą głównego energetyka, a od maja społecznie pełni funkcję I sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR.

— Ani jako członek partii, ani jako członek tej załogi, nie widzę powodu, aby działać w organizacji partyjnej etatowo. Na razie we trójkę, z moimi zastępcami, dajemy sobie radę. Ja najczęściej muszę opuścić stanowisko pracy dla działalności w organizacji. Koledzy i towarzysze odpracowują za mnie.

— Bezpartyjni robią to naprawdę bez narzekania?

— Działacze związków też mają obowiązki społeczne. Zresztą wielu ludzi w naszym zakładzie spełnia różne funkcje społeczne, najczęściej mało widoczne, ale robią to tak, aby nie zakłócało pracy. Nie istnieją u nas podziały; na razie udało nam się uniknąć większych zadrzań na tle związkowym czy innym. Nie przodujemy w strajkowej odnowie, choć jesteśmy jedynym zakładem z Łomżyńskiego włączonym do setki w całym kraju, które opiniują wszystkie projekty reformy gospodarczej. Uduje nam się wspólnie, dyrekcji, kierownictwu „Solidarności”, związku branżowego oraz partyjnym, tak rozmawiać, a przede wszystkim tak załatwiać sprawy, aby uniknąć niezadowolonych ludzi. Cała trójka sekretarzy jest członkami „Solidarności”, to znaczy: byliśmy już członkami, kiedy POP wybrała nas na te funkcje.

— Plenum KC wezwało do opowiedzenia się partyjnych członków „Solidarności”.

— Może stamtąd inaczej widać te sprawy? Ja opowiadałem się za takim działaniem partii, które broni socjalizmu. Nie mogę, właśnie jako partyjny, odwracać się od załogi. Sprawa opanowania kryzysu i utrzymania odnowy musi być prowadzona wspólnie. Nie wydaje nam odnowa oddzielna w partii i w „Solidarności”, oddzielna na wsi i w mieście. Przecież kiedy ludzie na zebraniach wypowiadają się na każdy temat i często domagają uewnętrznienia tych poglądów w postaci odczuw, postulatów, a najczęściej poparcia dla wcześniej i gdzie indziej sformułowanego stanowiska — nie może nas, partyjnych, przy tym nie być. Na co dzień mamy dowody tego, że takie działanie jest dla obu stron korzystne. Ale wymaga obustronnego zaufania.

— To bardzo trudne i chyba niemożliwe, nie tylko dzisiaj.

— Mówię o realiach, takich np., jak doprowadzenie do zmiany stanowiska w kilku sprawach. Mam na to dowody w postaci dwóch wersji niektórych dokumentów. To nie jest łatwe, ale przecież trudne jest wszystko: i wykonanie zadań produkcyjnych, i kupienie czegoś z podstawowych produktów. W zmniejszaniu tych trudności leży podstawa porozumienia, źródło ustępstw. Najczęściej są to rzeczy na pozór drobne. Czy wie pan, jak rozwiązyaliśmy pewną część kłopotów zaopatrzonych w załogi? Otóż doprowadziliśmy do tego, że handel dostarcza nam do kiosku zakładowego taką ilość mięsa i przetworów, aby każdy pracownik mógł ich wykupić co najmniej kilogram w miesiącu. Robimy listy imienne, alfabetyczne, numerujemy według nich kartki przydziałowe. Tak samo jest z olejem; przedtem był tłok, że baliśmy się o całość kiosku, a teraz pół beczki stoi i kto go jeszcze nie kupił, przy okazji może to zrobić. Z szamponami jest tak samo, a nawet z rajstopami dla pań.

— W czasach wielkich słów nazywało się to sojuszem, duchem kolektywu załogi, ale cel był for-

mulowany równie dobitnie: dla socjalizmu. A teraz?

— Żeby nie dać się biedzie, jak wymyślił to w redakcji; żeby wyjść z niej w coś lepszego niż było dotychczas, a co wyraża to samo słowo „socjalizm”. Tylko ludzie nie chcą już polityki, utożsamianej z propagandą bez pokrycia. Trzeba agitować faktami, działaniem. I mam do „Kontaktów” trochę pretensji: o skwitowanie fotograficzne sprawy naszego przedszkola. Jego uruchomienie w adaptowanym baraku przyjąłem jako właśnie agitacyjny sprawdzian dla siebie; i aby pokazać, że w tych cholernych czasach można szybko rozwiązać przykry i drażniący społecznie problem. Oczywiście, proponując to wiedziałem, że angażuję nie tylko własny autorytet zawodowy, ale i sekretarza partii. Sam tego nie zrobiłem, była cała masa ludzi, którzy pomagali. O to, że nie wspomnieliście o nich na swoich łamach, również mam pretensję. W działaniu partyjnym w zakładzie czasem zupełnie drobne z pozoru sprawy mają wielkie znaczenie. Na przykład: zaczęto upowszechniać u nas informację, niewątpliwie wykrzywioną, o wynikach współpracy gospodarczej i handlowej z ZSRR. Obiecałem podać faktyczne dane, które odebrałyby jej tendencyjny, antyradykalny charakter. Czekam na materiały z KW w Łomży już trzeci tydzień. Sprawa, oczywiście przychodnie, może zostanie wyjaśniona oficjalnie, ale moja w tym bezradność na pewno mi w zakładzie nie pomogła.

Zdażyliśmy na koniec przerwy śniadaniowej. Miałem okazję rozmawiać z elektrykami i mechanikami w wydziale remontowym. Potem przeszliśmy całą nitkę produkcyjną, zaczynając od ciepłowni i suszarni. Na tyk herbaty przysiedliśmy w dziale kontroli jakości produkcji. Plac na surowiec prawie pusty; miesieczny zapas. Na trochę dłużej wystarczy węgla, z mazutem trochę lepiej (ale, na szczęście, nie przelewa się, nie wycieka do rzeki. Elk, jak to w przeszłości, z braku kwalifikacji obsługi zbiorników, bywało).

Produkcja płyt robi wrażenie dodatku do rozbudowanych wydziałów remontowych. Przypomina mi to opowieść znajomego inżyniera z wrocławskiej „Fadromy”, który został wysłany do Pakistanu, aby tam — jak sam mówił — uwstecznić technicznie, eksportowane z Polski, nowoczesne walce drogowe. Pakistan przeżywał kłopoty (chyba nie minęły) z nadmiarem rąk do pracy. Podjęte wielkie inwestycje drogowe miały m.in. tę obfitość rozładować. Toteż nie dziwnego, że maszyną drogowa, którą obsługiwało dwóch robotników, była urządzeniem — z tego punktu widzenia — niepożądanym. Należało przerobić ją tak, aby przy obsłudze angażowała co najmniej dwunastu ludzi. I to właśnie było zadanie dla mojego znajomego. Nie pamiętam już, w jakim stopniu udało mu się ten postulat zrealizować, nieważne; zdumienie i trwogę budzi natomiast fakt powstawania podobnego efektu u nas. Choć bezpośrednie przyczyny są inne, inny cel tych zabiegów, ich skutki mogą być równie nie mile dla naszej gospodarki, jak działanie owego inżyniera dla „fadromowskich” walców drogowych.

Ludzie z produkcji, z którymi rozmawiałem w Grzejewie — jakby przeczuwali, że „coś tu nie gra” — groźniej niż dotychczas — próbowali dziarskością „zagadać” te przeczuca. Nie wątpię w szczerść tego, co powiedział mi któryś z elektryków: — Bieda? Nie można jej się dać. Trzeba ją klepać, żeby się w nędzę nie zmieniła.

Wierzę także w to, że większość załogi Zakładów pojedzie na tydzień do lasów, aby wycinać drewno, które potem przerobi na płyty wiórowe. Albo — w ostateczności — paląc nim pod kotłami, utrzyma przy życiu to dobro, jakim jest fabryka. Wierzę, bo pytałem kilkakrotnie o sytuację skrajną — i zawsze podobną otrzymywałem odpowiedź, że w ostateczności sami zdobędą to drewno. Myślę tylko nad tym, jak długo wytrwają w takiej solidarności, a także o tym, że takie sytuacje nie powinny mieć miejsca. Co więcej, cały ten zakład, obciążony genetycznie byle jaką, bo nie do końca pragmatyczna, myślą projektową, wepchnięty w permanentnie anormalne warunki funkcjonowania, musi zacząć nowe, inne życie. Inaczej zginie.

Fot. GABOR LÖRINCZY

kowal zawinił

W artykule „Kowal zawinił”, opublikowanym w „Kontaktach” nr 42 z dnia 25 X 1981 r., jego autor, Zygmunt Zembrzycki, zawarł krytyczne uwagi odnoszące się do działalności kolegiów ds. wykroczeń. Zdaniem autora — kolegia te naruszają przepisy prawa, błędnie interpretują prawo materialne oraz mylą się w orzekaniu o winie i karze. Na dowód słuszności postawionej przez siebie tezy — posłużył się przykładem rozstrzygnięcia kolegium w sprawie rolnika z gminy Kolno, obwinionego o wypas bydła na, zasianym zbożem polu sąsiada, przeciwko któremu bezpodstawnie, zdaniem autora, prowadzone postępowanie przed kolegium przez okres ośmiu miesięcy. W związku z tym autor wyraził pogląd, że jedynie sądy dają gwarancję prawidłowego wymiaru sprawiedliwości, tak w sprawach poważniejszych, jak i drobnych.

Zgadając się z autorem artykułu co do faktu, że obwiniona w podmiotowej sprawie powinna być osoba, która faktycznie pasła bydło na cudzym polu, podnieść należy szereg wątpliwości występujących przy ustalaniu tej właśnie okoliczności w toku postępowania przed kolegium. Istotna różnica w ocenie faktów i dowodów dotyczących tej kwestii wynika zapewne z tego, że składy orzekające kolegium dokładnie zapoznają się z aktami tej sprawy, podczas gdy autor artykułu zaledwie je przejrzał. Z bogatego materiału dowodowego przytacza on jedynie fakty i dowody uzasadniające jego własny punkt widzenia. Aby racie te wydały się czytelnikom bardziej przekonujące, autor pozwala sobie na — niedopuszczalne w przypadku prawnika — uproszczenia, pomijając wiele istotnych dla meritum sprawy okoliczności. W zasadniczy zaś sposób na wyciągnięcie przez autora błędnych wniosków wpłynął fakt przypisania przez niego przesłuchanym świadkom treści zeznań, jakich oni w rzeczywistości nie złożyli.

Dla rozważań nad stanem faktycznym w omawianej sprawie konieczne jest wyjaśnienie, że wniosek o ukaranie został złożony na 34-letniego rolnika (syna), a — zdaniem autora publikacji — powinien być złożony na jego ojca.

Nie jest zgodne z prawdą i nie ma pokrycia w zebranych materiałach dowodowym stwierdzenie: „już na pierwszej rozprawie świadkowie stwierdzili, że było wypasat nie obwiniony, a jego ojciec”. Trzech świadków zdarzenia, którzy pierwotnie złożyli swoje oświadczenie (założone przez poszkodowanego na poparcie wniosku o ukaranie), stwierdziło, że było to właśnie obwiniony, tj. syna. Dwóch z nich oraz pokrzywdzony (trzeci ze świadków nie był przesłuchiwany z powodu nieobecności na rozprawie) potwierdzili swoje zeznania na rozprawie kolegium pierwszej instancji. Wszyscy oni zeznali, że widzieli pasące się bydło, stanowiące własność obwinionego, oraz że widzieli, jak spędzał je z żyta. Chociaż w protokole zeznań świadków użyto w dwu przypadkach tego samego nazwiska „Dziegielewski”, to jednak, wobec treści ich wcześniejszych oświadczeń, znajdujących się w aktach sprawy, nie sposób założyć, że nie dotyczą one obwinionego. Fakt ten był na tym etapie postępowania tak oczywisty, że nie poświęcono mu, jak się obecnie okazuje, wystarczającej uwagi. Żaden ze świadków nie widział, kto faktycznie pasł bydło, ponieważ pasło się ono bez żadnego dozoru. W tej sytuacji wniosek o ukaranie został złożony na syna, a nie na ojca, na którego zapisane było wówczas gospodarstwo. Biorąc fakty pod uwagę kolegium słusznie przyjęło, iż wykroczenia zarzuconego we wniosku o ukaranie dopuścił się obwiniony. W świetle zebranych w sprawie dowodów kolegium nie dało wiary zeznaniom ojca, iż to on dopuścił się wykroczenia, traktując jego zeznania jako celowe działanie, zmierzające do uwolnienia od kary samego syna. W istocie bowiem wiarygodność zeznań tego świadka, jako osoby najbliższej obwinionemu, w konfrontacji z innymi dowodami, nasuwa uzasadnione wątpliwości.

Ustalenie faktycznego sprawcy nie było łatwe, bowiem zarówno syn, jak i ojciec, w dniu popełnienia wykroczenia pracowali we wspólnym gospodarstwie rolnym i mieszkali w

jednym domu. W tej sytuacji oraz przy uwzględnieniu rodzaju i charakteru popełnionego wykroczenia — okoliczność, kto faktycznie poniesie konsekwencje, ma jakby drugorzędne znaczenie. Trzeba powiedzieć, że prawo o wykroczeniach, w odróżnieniu od prawa karnego, kieruje się nie zasadą formalnie pojmowanego legalizmu, lecz społecznej celowości. To właśnie formalistyczne traktowanie powyższego stanu faktycznego prowadzi do negacji w gruncie rzeczy trafnego rozstrzygnięcia kolegium ds. wykroczeń. W żadnym zaś razie ta — kontrowersyjna w ocenie stanu faktycznego — sprawa nie może być podstawą do wyciągnięcia bardziej ogólnych, nierzetelnych i krzywdzących opinii pod adresem kolegiów.

Od orzeczenia o ukaranie grzywną w wysokości 2000 złotych oraz obowiązku w kwocie 3000 złotych na rzecz pokrzywdzonego odwołał się obwiniony, nie biorący udziału w postępowaniu przed kolegium pierwszej instancji, twierdził, że było to stanowi własność ojca, oraz że to ojciec, a nie on, wypasał krowy. Sugerował także, że szkoda mogły wyrządzić dziki bądź też — przepędzane drogą — bydło innych sąsiadów. Natomiast na rozprawie kolegium drugiej instancji wyjaśniał, że nie wie, kto wypuszczał bydło i kto je pasł, ponieważ w dniu tym przebywał u brata stryjczanego.

Kolegium drugiej instancji utrzymało w mocy grzywnę, a uchyliło orzeczenie w części dotyczącej obowiązku. To satysfakcjonowało obwinionego, który niezwłocznie dokonał wpłaty grzywny w wymierzonej przez kolegium wysokości. Z takiego rozstrzygnięcia nie był natomiast zadowolony pokrzywdzony, który złożył wniosek o uchylenie powyższego orzeczenia do Komisji Orzecznictwa ds. Wykroczeń przy wojewodzie łomżyńskim, słusznie domagając się należnego mu odszkodowania za straty poniesione w uprawie. Według relacji Zygmunta Zembrzyckiego — o uchylenie orzeczenia wniosł obwiniony, „zdegenerowany jawą niesprawiedliwością kolegium, a szczególnie faktem nieprzyznania mu owej nawiązki, będącej odszkodowaniem za straty w kolejnych rozprawach”. Pomylił więc autor artykułu obwinionego z poszkodowanym, co można mu w końcu wybaczyć, jak również to, że pomylił córkę z siostrą obwinionego. Nie sposób jednak zrozumieć, że ktoś, kto zarzuca kolegium nieznaną sobie przepisów prawa materialnego, sam wykazuje nieznaną sobie tychże przepisów, chociażby w zakresie rozumienia istoty nawiązki przewidzianej w art. 151 § 5 Kodeksu Wykroczeń. Z przepisu tego wynika bowiem w oczywisty sposób, że nawiązka ta jest dodatkową dolegliwością dla sprawcy wykroczenia oraz stanowi zadośćuczynienie wobec pokrzywdzonego z powodu doznanej szkody materialnej, a nie jest odszkodowaniem dla obwinionego z tytułu udziału w postępowaniu przed kolegium. Tak rozumiane nawiązki przepisy prawa o wykroczeniach w ogóle nie przewidują.

Komisja Orzecznictwa, uznając za zasadne żądanie pokrzywdzonego, uchyliła orzeczenie kolegium drugiej instancji i przekazała sprawę do rozpatrzenia Kolegium ds. Wykroczeń przy naczelniku miasta i gminy w Kolnie. Podtrzymało ono swoje stanowisko z pierwszej rozprawy, tj. ukarało obwinionego grzywną i nawiązką. Obwiniony i tym razem uchylił się od udziału w rozprawie, a następnie ponownie złożył odwołanie do kolegium drugiej instancji. Kolegium odwoławcze uniewinniło go przyjmując — na podstawie jego własnych wyjaśnień — że wykroczenie popełnił ojciec obwinionego.

Może się zdarzyć (i zdarza), że kolegium popełni błąd, zwłaszcza w interpretacji przepisów prawnych. O tym, że zdarza się to również sądom, świadczy chociażby działalność sądów odwoławczych i Sądu Najwyższego. Bywa, że i ten ostatni zmienia swoje stanowisko w konkretnej sprawie. W odróżnieniu od sędziów zawodowo wykonujących swoje obowiązki po ukończeniu czteroletnich studiów prawniczych, członkowie kolegiów ds. wykroczeń są przedstawicielami społeczeństwa, którzy na zasadach działalności społecznej uczestniczą w procesie zwalczania zjawisk patologicznych, przyczyniając się do umacniania porządku publicznego i dyscypliny społecznej.

mgr ALFRED FILIPKOWSKI
radaea Kolegium ds. Wykroczeń

polemiki



Autobusy kursują tu rzadko, wedle możliwości, a nie potrzeb. Zatrzymuję się na szosie; w prawo anemiczny las, w lewo wieś. Ruszam zwirową drogą w ociążałą, dostatnią, murowaną paskudę budownictwa z lat prosperity — kiedy były jeszcze: cement, pustaki i cegła. Bezzębna kobieta na skraju drogi obrzuca mnie ciekawskim spojrzeniem: — Tomaszewski Władysław? Już tu u niego byli w sprawie grobu Stacha Konwy. — Kostropaty palec podnosi do czoła, kreśli znaczące kółko: — W głowie ma dawno pomieszanane. Szkoda tracić czas.

Próbuję zweryfikować ten pogląd w murowanym, piętrowym domu, pierwszym z brzegu. Gospodarz wrócił właśnie z pola. Był coś przelknąć, byle kark rozprostować. Długie gumaki, wesołe spojrzenie. Gościnnie zaprasza do środka. Stół, krzesła, radio, telewizor. Na tapczanie Magdalena (cztery miesiące) i Marta (dwa miesiące), najmłodsze z dziecięciorga wnuków. A jutro będą chrzciny. Jak zjedzie najbliższa rodzina — same tylko dzieci z wnukami — wszystkich razem będzie dwadzieścia jeden osób. Gospodyni zwinęta w rulon gazetą pędzi z pokoju muchy. Radio trzeszczy bez przerwy — to gadanie, to muzyka — nikt nie słucha, nikomu nie przeszkadza. Pytam o Władysława Tomaszewskiego. Gospodarz trochę zdziwiony. Po co szukać epoki, która dawno umarła. — Był kiedyś, owszem, szanowany — odpowiada. — A teraz patrzy już z innego świata.

— Czy to prawda, że jest samoukiem.

— Prawda.

— Mówią, że zdobył dużą wiedzę.

— Może i zdobył. Kto go tam w tych gwiazdach dogoni.

W oczach ma wyczekiwanie. Najwyraźniej nie rozumie, po co tak dziwnie kołować, zamiast przejść od razu do właściwego tematu.

— Czy w obecnej, zmienionej sytuacji widzi pan dla tej wsi jakąś szansę?

Wstaje z krzesła, przywołuje z drugiego pokoju dwie ciche i pokorne synowe, zażąda chwilowe zabranie dzieciaków, siada na powrót, bardzo godny teraz, długo ogląda legitymację prasową.

— Szansa była zawsze, ale zmarnowana. Ludzka inicjatywa całe lata leżała odłogiem. Każdy następny rok grzebał coraz głębiej nadzieje. Starzy gospodarze patrzyli i załamywali ręce nad tym pogrzebem naszej wsi. A teraz powoli, powolutku zaczynamy uprawiać to jałowe pole. Proszę schować długopis. Najpierw sobie wszystko opowiemy, a potem będziemy pisać.

Za Gierka było wielkie zniechęcenie rolnika. I tylko jedna myśl, kiedy będzie koniec. Młodzi uciekali nie z powodu kultury i nie na łatwiejszy chleb. Co pisali w gazetach, to było zwykłe oszukaństwo. Własność pod nogami się waliła. Taka była prawda. Żeby gospodarz gospodarzył, musi mieć tę pewność na swoim. Bóg dał mi dziesięciorgo dzieci. Ten brak pewności popędził ich do miasta. Zdobyli różne zawody: ślusarsko-mechaniczny, samochodowy, fryzjerski. Czy ja mogłem mieć żal? Każdy rodzic chce dla swego dziecka tej pewności jutra. Jedną połowę serca mam ojcowską, a drugą gospodarską. Tą drugą połową odczuwałem i rozpaczale: tyle młodej energii odebrano ziemi. A teraz zabłysła znowu ta isierka pewności. Syn jeden obiecał, że po wojsku wraca na gospodarke. To chyba On sprawił, nasz Przewodnik — wskazuje, zawieszoną na ścianie, reprodukcję Jana Pawła II — że młodość do nas powróci. Jeszcze nie piszemy. Jeszcze sobie wszystko opowiemy.

Mówili trzydzieści sześć lat na różnych zebraniach, że byt określa świadomość, a to jest też zwykłe zafałszowanie. Bo co to jest ten byt? Byt to, dla przykładu, wóz. A co jest świadomość? To, dla przykładu, koń. Czy wóz ruszy bez konia? Za Gierka wieś była jak wóz bez konia: ani w tył, ani w przód, i ludzie żyli niby razem, a w pojedynkę. Każdy szukał własnych spraw. Kiedy się żyje w pojedynkę, to się żyje tak, jak ten wóz pełen zboża, bez świadomości swojej drogi i swoich racji. Myśmymy nawet wybierali byle jakiego sołtysa. Rolnik zawsze mówił, co go boli, ale nikt nie słuchał, a sołtys był po to, żeby protokół wygłaszać, byle pasował na górę. I z bólem serca obserwowaliśmy, co się w kraju dzie-

je, jak depcze się rolnika i ciemnotę mu w głowę wstawia.

Przed wojną czytałem prasę. Pamiętam niektóre sprawy dobrze. Nasz kraj mógł jednym zbiorem wyżywić cały naród przez trzy lata, nie siejąc i nie orząc. Leżała wtedy połowa gruntów odłogiem, a ludzie hodowali trzy razy mniej niż teraz. Więc ja sobie zadaję pytanie: co się nagle stało? Dlaczego głodem powiewa z miasta? Dlaczego przyjeżdżają i głodnymi oczami patrzą na byle kurę, byle gaskę? Ja na to pytanie nie odpowiem. Wiem tylko jedno: wieś może dalej wyżywić naród, nie trzeba jej tylko rzucać kłód pod nogi i karmić strachem. Trzeba pokazać prostą drogę: choćby wyboistą, ale pewną. Dać węglą do ogrzania domu i parowania ziemniaków dla świń, nawozy i maszyny, rodzićel sprawiedliwie. Wieś nie może jechać na samych brakach. W Grajewie jest fabryka płyt wiórowych. Od lat wywożą nam las. Jeszcze trochę, a cały wywożą. To nie jest gospodarka, lecz zwykły rabunek. Nie chodzi o mnie ani o sąsiadów, ale ja się pytam, co zostanie na przyszłość. Ten krótki wzrok gubi nasz kraj; to myślenie od dziś do jutra. Gdyby rolnik tak myślał, nie zostałaby tu do tej pory ani jedna gospodarka.

Jest tu jeszcze jedna sprawa bieżąca — nowa kłoda pod nasze nogi. My tu, w Jednaczewie, nastawieni jesteśmy od dziesiątków lat na produkcję mleka ze względu na łąki. Połowa naszych gruntów to użytki zielone. W sezonie odstawiamy dzień nie trzy tysiące litrów mleka. I tu już można nawiązać do tego, jak powstała u nas wiejska „Solidarność”. Podjęli na górze decyzję, żeby w Jednaczewie zbudować wał przeciwpowodziowy. Twierdzili, że chcą odciążyć łąki. Ale taki wał egzaminu nie zda w żadnym przypadku. Wykonawcą miało być biuro melioracyjne z Zambrowa. Zaczęli budować, ale myśmymy się sprzeciwili. Nakłady wielomilionowe, a pożytek żaden. Kto zna wodę, wie, że ona musi sobie znaleźć nurt. Weszłaby na łąkę i nie miała odpływu. Ten wał mieli ustawiać w poprzek łąki; zabraliby kawał ziemi. A te łąki to cały nasz byt. Bez łąk nie ma hodowli krów. Bez hodowli nie ma Jednaczewa. Powodzie bywają tu co trzydzieści lat i zagrożonych jest wówczas kilka domów nad samą Narwią. Ale nawet ci zagrożeni nie chcą żadnego wału. Każdy rozumie, że on egzaminu nie zda. I kto to widział, żeby przeciw Panu Bogu tamę szykować.

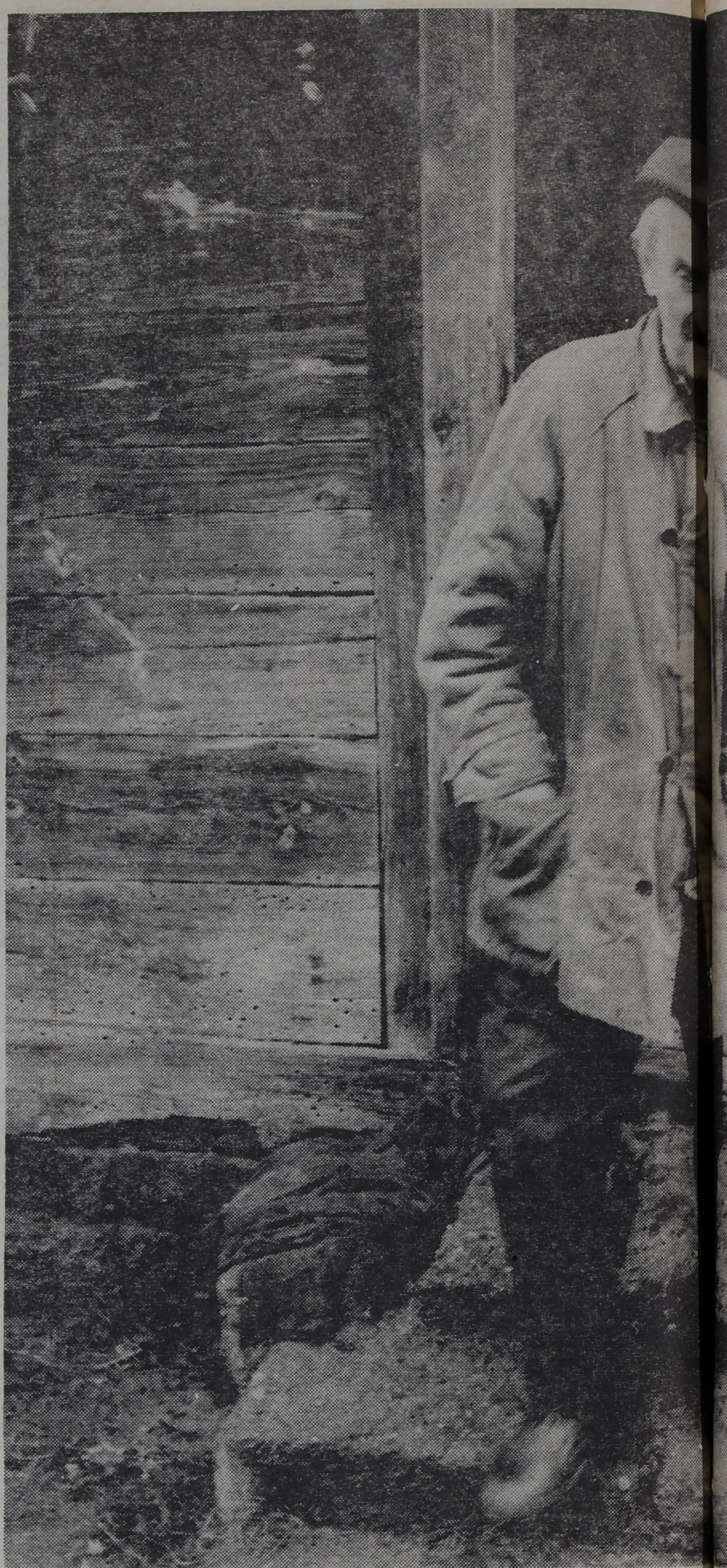
W „Solidarności”, w Łomży, ustaliśmy słowa pociechy. „Czujcie grunt pod nogami” — powiedzieli. Założyliśmy koło. Zapisali się połowa gospodarzy, nie licząc chłoporobotników z „Solidarności” miejscowej. Programu szczegółowego jeszcze nie mamy, ale ogólnie wiemy, co tu trzeba zrobić. Po pierwsze: drogi dojazdowe do łąk i pól. Od powojny płacimy za naprawę dróg w podatku gruntownym, a prawda jest taka, że od kilkunastu lat topimy się. To są drogi-topieliska. Chcemy pobudować we wsi zlewnię. Mamy tu największe w okolicy zagłębienie mleczne, a mleko trzeba dowozić kilka kilometrów. Wybierzemy sobie nowego sołtysa, teraz już nie dla żartu.

W czym nam może pomóc państwo, żeby wieś stanęła na nogi? Z każdego prawie domu dojeżdża od nas człowiek do pracy w mieście; ze stu dwudziestu gospodarstw — około stu osób. Tam niewiele robi i tu niewiele. Tu są myśla, tam ciałem. Żeby gospodarka się opłaciła, człowiek musi być na niej i ciałem, i duszą. Więc rolą państwa jest odstraszyć od miasta tych chłoporobotników.

Gospodyni wnosi na tacy barszcz z kartoflami. W radiu kolejna piosenka, tym razem z amerykańskiego repertuaru: „Start me up”. Kartofle są białe, sypkie, na wierzchu — ciemnobrazowe skwarki. Barszcz czerwony, rozbielony śmietaną, z pływającymi okami tłuszczu.

— Niech już nie będzie strasznie dobrze — mówi gospodarz — ale prawdziwie i szczerze. Teraz wyjdę, żeby nie przeszkadzać. Proszę sobie pojeść, nasycić się, a potem wrócę i wszystko sobie spiszę. Bo co to jest ta „Solidarność”? To jest jakby odwrócenie dna do góry.

Starych, drewnianych domów zostało w tej wsi niewiele. W takim właśnie domu, nazywanym tu „kucem”, mieści się czteroklasowa szkoła. Na piętrze mieszka nauczyciel z żoną i trójką dzieci. Drewniane schody, ciemnawy przedpokój, dziesięć par butów różnej wielkości, ustawionych w rzę-



nie dogonisz w





Wiazdach

dzie. Pukam. Nauczyciel siedzi przy stole w samych tylko skarpetkach: nogi wyciągnięte. Spogląda niechętnie: znowu ktoś nie daje odpocząć. Wkłada buty, zawiązuje sznurowadła; schodzimy na dół do małego pokoju, który pewno spełnia rolę sekretariatu. Stół przykryty zielonym sukniem, dwa krzesła. Kopcimy popularne.

Kiedyś był dyrektorem szkoły zbiorczej. Przyjechał do Jednacza kilka lat temu, żeby dać szansę najstarszemu synowi: bliżej stąd do gimnazjum w Łomży. Żyje w tej wsi, ale jakby trochę poza nią. Trochę wyżej? Trochę niżej?

— Czy zna pan Władysława Tomaszewskiego?

— Znam rodziców moich uczniów. Tomaszewski nie ma ani dzieci, ani wnuków. Wiem, że jest samoukiem. W jego epoce nie było to na wsi rzadkie zjawisko.

— Jak ocenia go środowisko tej wsi?

— Myślę, że nikomu nie przeszkadza.

dza. Po prostu nie istnieje w ludzkiej świadomości.

— Co pan sądzi o projekcie budowy wału przeciwpowodziowego.

— Rolnicy mają rację: skradnie im łąkę. Zniszczy tę wieś do końca, a ona i tak jest na wymarcu. Około czterdziestu procent gospodarstw nie ma następców.

— Czy uważa pan, że następcy wrócą teraz na wieś?

— Uważam, że w chłopach, mimo wszystkich przeciwności, jest wielki upór i siła przetrwania.

— Wierzy pan, że „Solidarność” zmieni tu bieg wydarzeń?

— Wierzę, że z czasem, gdy w życie narodu wejdzie historia, może wiele odmienić. Na wieś wchodzi przeważnie z opóźnieniem, ale tu także słyszę już jej kroki.

— Czy weszła także do szkoły?

— Poprawa sytuacji w oświacie to proces długotrwały, wieloletni.

— Ma pan z czego uczyć?

— Książki wypożyczamy z Łomży.

W zeszyty i przybory piśmienne zaopatrzyliśmy się wcześniej. Jak się to wszystko zaczynało, powiedziałem rodzicom, że trzeba szybko kupić, bo będzie gorzej. Nie mamy żadnych lektur. Nie wiem nawet, jaką przedstawia wartość dydaktyczną, bo ich po prostu nie widuję. Szkoły filialne nie mają w ogóle własnych bibliotek.

— Jak pan odczuwa swoją osobistą sytuację w tej wsi?

— Dla starszych wiekiem nauczyciel jest jeszcze kimś. U młodych autorytet przyska. Bo kto to jest nauczyciel? Czym on się może pokazać na tle środowiska? Nie ubiera się, bo go nie stać, nie ma nic swojego: ani ziemi, ani domu, ani bydła. Zarabia razem z żoną 11 tysięcy miesięcznie i musi utrzymać troje dzieci. Kupuje trzy litra mleka dziennie po 14 złotych, płaci za wszystko coraz drożej i w coraz większą wpada biedę. I całe 24 godziny jest pod ostrzałem.

— Jednak prestiżu nie buduje się na posiadaniu.

— Może tak było w 1947 r., jak tu stały same „kuce”. Wtedy człowiek miał wolę, żeby budować się od środka.

— Mówi pan o swojej sytuacji z goryczą i zniechęceniem.

— Jeśli nauczyciel włoży w swoją pracę wielki wysiłek, może zasłużyć na zaufanie środowiska. To już dziś bardzo wiele.

— Czy są, pana zdaniem, inne przyczyny upadku autorytetu wiejskiego nauczyciela?

— Może to już nie jest ten, co kiedyś, nauczyciel. Może to już nie ta wieś. Może już nie ta szkoła. Trzeba wiele wysiłku, żeby wznieść szkołę na dawne miejsce. Mogłaby być przecież ośrodkiem kulturowym.

— Myślał pan kiedy o tym, żeby zmienić swój los?

— Nie mam wielkich pragnień. Żona jest także nauczycielką. Możemy tu pozostać. Chciałbym tylko jednego: żyć godnie. Wierzę, że przemiany, które się dokonują, podarują moim dzieciom taki prezent.

A Władysław Tomaszewski odnalazł swoje miejsce w abstrakcji. Osiedlił się tam wiele lat temu i pozostał. Dawno przestały go obchodzić małe i wielkie problemy tej wsi: kto zostanie sołtysiem, czy wybuduje się droga, czy postawią na łąkach tamę. Może nie obchodziły go nigdy. Twarz ma wyschniętą, poraną pionowymi bruzdami; ciemne, wpadnięte pod czaszką oczy. Mieszka w „kucu”: duża izba, drewniane łóżce, stół, kilka krzeseł, w kącie — szafa. Gospodarował tu kiedyś z bratem, potem całą ziemię przejął bratanek. Obok „kuca” stoi duży, murywany dom.

— Dzień dobry panu!

Siedzi przy stole. Głowę podnosi po długiej chwili. Patrzy podejrzliwie. Wielkie ręce złożył na stole podaniowych, kratkowanych kartek papieru, zapisanych wyblakłymi ołówkiem.

— Czy można porozmawiać?

— Nie odpowiada, żadnego gestu zachęty. Siadam bez zaproszenia.

— Mówią we wsi, że jest pan samoukiem...

— No to co. Nauczyłem się czytać, mając osiem lat, w pięć tygodni. Teraz jest nacisk na uczenie, a kiedyś nie było. Potem uczyłem się całe życie. Szalała grypa „hiszpańska”, a ja się uczyłem. Niemcy strzelali przez Narew, ja się uczyłem. Skupiłem wszystkie książki, co były w Łomży i gdzie indziej. Leżały całymi latami w księgarniach, więc skupowałem. Przeczytałem parę tysięcy.

— Gdzie pan trzyma te książki?

— Nie odpowiada. Śledzi podejrzliwie mój wzrok. W kącie pokoju żona

bratanka pierze w misce i uśmiecha się.

— Przestudiowałem różne sprawy dawne i obce. Weźmy np. wypadki drogowe. Dużo się teraz o tym mówi. W Anglii jest ruch lewostronny, zgodny z prawami przyrody. Jak się do praw przyrody dołoży tresurę, jest mniej wypadków.

— Czy może pan coś powiedzieć o swoim życiu?

— Krzywi się niechętnie.

— Najlepiej poszło mi na wsi aktorstwo, i co z tego. Tysiąc pięćset kilometrów zrobiłem piechotą w Rosji, żeby wrócić do tego kraju. We trzech z braćmi walczyliśmy o tę ojczyznę. I co z tego? Z bratem gospodarzyliśmy. I co z tego?

— We wsi mówią, że nie lubi pan pożyczać książek.

— Czy ja mówiłem, że mam książki? Co innego mieć w głowie, co innego — w domu. Różne rzeczy studiowałem: budowę piramid egipskich i jak się mają zmysły do umysłu, czyli Heidegger. Kiedyś lubiłem przewidywać. Już w 1938 r. wyszło mi, że nasze granice zostaną przerzucone na zachód. Nikt mi wtedy nie wierzył. Przez ostatnie dwadzieścia osiem lat zająłem się już tylko matematyką. Przy niej wszystko inne, to jakieś głupstwa. Uznaję tylko matematykę rozrządową. Matematyki namiarowej nie lubię. W rozrządzie nie ma ułamków. Rozrząd jest dla każdego. Może go zrozumieć pięcioklasista. Jakbyśmy tu sobie posiedzieli dwa dni, to ułożylibyśmy dużo równań. Nie posiedziemy? No, tak. Zawsze jest tak samo. Wybierałem się do Warszawy, ale zrezygnowałem. Warszawa rządzi się namiarem, a ja rozrądem. Nigdy się nie rozumiemy.

— Był pan kiedyś w Warszawie?

— Może byłem, może nie byłem. Przepowiadanie sobie życiorysów to jest nie. Podam taki przykład. Żył kiedyś w Warszawie krawiec, niejaki Elert. Zainteresowało się nim trzech matematyków, bo co on takiego robił: szyl garnitury bez wymiarów, tylko na podstawie wagi. Zważył człowieka, a resztę sobie wyliczył.

— I miał klientów?

— Tłumy. On się w tych wyliczeniach nigdy nie mylił. Żadnych błędów.

— Te kilkadziesiąt stron przed panem na stole to chyba nie są równania.

— Nie są.

— Czy to może pamiętniki?

— Za pamiętniki się nie brałem. Pamiętniki to są życiorysy.

Przysuwa do siebie rękopisy, zaszłania rękami. Kilka kartek zsuwa się na podłogę. Niby niechcący — przydeptuje je nogą.

— Nie ma tu pan dla swojej wiedzy spadkobierców.

— Ludzie u nas pojętni, ale praca na gospodarce jest ciężka, zabiera dużo czasu.

— Mogłby pan pouczyć trochę choćby tych pięcioklasistów.

Zastanawia się chwilę. Znowu ma podejrziwość w oczach.

— Nie mógłbym — oświadczam z triumfem w głosie. — A to z tego powodu, że tu są tylko cztery klasy.

— Czy sądzi pan, że wieś, w której spędził pan całe życie, może się wznieść na wyższy poziom myślenia i działania?

— Tylko matematyka może podnieść człowieka i odmienić jego życie.

— Jest pan zadowolony ze swojej osobistej sytuacji?

Spogląda na drzwi, ale nikt się tam nie czał.

— Przecież my się kochamy — skrzeczy cicho. — Ona mnie kocha i ja ją kocham. — I trzęsąc się ręką zaczyna kreślić na marginesie rękopisu jakieś równanie.

— Całymi dniami tylko siedzi i pisze — informuje na podwórku żona bratanka. — Potem złości się, bo sam siebie nie może odczytać, drze, co napisał, i zaczyna od początku. Tak mu upływają miesiące, lata.

Pojawia się nieoczekiwanie na progu swego „kuca” — długi, wychudzony, z zamkniętą, ascetyczną twarzą. Przywołuje mnie ręką.

— Jeszcze jedna bardzo ważna sprawa. Matematycznie udowodniłem, że człowiek jest kulą.

Idę do szosy zwirowaną drogą. Słońce szybko zapada za horyzont. Kartoflane wozy zjeżdżają z okolicznych pól. Władysław Tomaszewski: wiejski nawiedzony? Starca demencja? Czy może jakaś — jeszcze jedna — zmarnowana szansa tej wsi?

Fot. GABOR LÖRINCZY

spięcia



Łomżyńska Poczta uwzięła się, by nie zejść ze spięciowego piedestału: ostatnio kolejny czytelnik doniósł o perypetiach listu wrzuconego do skrzynki przy dworcu kolejowym w Łomży — przeleżał tam około trzech miesięcy przed ruszeniem w drogę. Może bał się stanąć oko w oko z adresatem?

Minister rolnictwa, Jerzy Wojtecki głowi się daremnie, skąd wziąć obiecany rolnikom sprzęt na wymianę za świńskie zadki. Radzimy wykupić abonament na dostawę chleba w szczuczyńskiej piekarni GS, która — całkiem zmyślnie — zapieka w piecywie części do ciągników. Nam udało się przechwycić (patrz zdjęcie) prawie dziesięciocentymetrową śrubę z nakrętką o średnicy 10 milimetrów. Ogłaszamy przetarg!



Wyglądiali nie będą już w piątki przed wolną sobotą pojawiać się z nienacką w Łomży! Ostatni z nich padł na trasie „Delikatesy” (dezynfekowały się) — sklep przy ulicy Sadowej (inventaryzował półki sklepowe i towary, które spadły z lady) — bar „Popularny” (zamknął się na cztery spusty). Są jednak i zyski: ostał się kapuśniak, którym załoga jadłodajni ABC dawała odpór ludzkim żądom.

Kryzys energetyczny dotknął i ludzi. 18 listopada na ulicy Swierczewskiego w Łomży, jeszcze w południe gorzały pełnym blaskiem lampy uliczne. Nie starczyło energii, by unieść rękę i musnąć nią wyłącznik.

Łomżyńska Spółdzielnia Mieszkaniowa radzi sobie jak może z planem korespondencji: zaplanowawszy wybudowanie blaszanych garaży na Górze Zawadzkiej w Łomży rozesała plik listów do zainteresowanych z pytaniem, czy mają co do nich wstawić? Ponieważ kilkunastu ochotników nie odpowiedziało, powtórną rozesała pisma polecone z tym samym namolnym pytaniem. Zabawa trwa kilka tygodni. Jej efekt: ustalono niezbitcie, że wiele osób chciało nabić SM w butelkę — złożyli podania o garaż mając nie pojazdy, a widoki na nie. Oferowalibyśmy znaczek pocztowy na list do Wydziału Komunikacji, który mógłby to stwierdzić od ręki. Ale co wtedy z zasadnością zatrudniania spółdzielczych epistolantów?

Wydział Handlu i Usług UW rozważa wprowadzenie nowej zasady handlowania: za 30 pustych flaszek można by otrzymywać — bez kartek — jedną pełną zbożową lub mierniczanego napitku. Proponujemy uzupełnienia: za 10 butelek mleka — jedną pełną białego płynu; za dziesięć pustych żuków — pół tony cytryn. Żeby cały zamysł dobrze się zakwaszył.

9

KONTAKTY

6.XII.1981



PRZESTROGI

Czemu tak trudno przychodzi naszej partii proces pobierania się? Co sprawia, że mimo odbytego Zjazdu — jej linia pozostaje rozchwiana, miejscami niewyraźna i rozmyta? Co trzeba w pierwszym rzędzie uczynić, aby jej decyzje nie pozostawały pobożnymi życzeniami? Oto pytania, na które odpowiedź jest palącą koniecznością. Jej brak musi oznaczać nieuchronną klęskę. Nie jest jednak możliwe udzielenie jej na poczekaniu. Sprawa partii nie jest rzeczą poszczególnych członków. Pokażę wszakże tutaj, od jakich członków z całą pewnością nie powinniśmy oczekiwać pozytywnej odpowiedzi. Tacy, jakich poniżej będę charakteryzował, funkcjonowali w partii komunistycznej niejednokrotnie, zawsze jej szkodząc. Jednych z nich jeszcze Lenin określił mianem emocjonalnych socjalistów; drugich nazywał chępliwymi funkcjonariuszami. Odwołajmy się więc do myśli Leninowskiej, która precyzyjnie uchwyciła ich istotę.

Socjalizm emocjonalny pojawił się w swoistej postaci w okresie NEP-u. Wyrzucił się on w lekceważeniu znaczenia handlu i sprzeciwie wobec wprowadzania form gospodarki towarowo-pieniężnej. A uzasadnieniem owego sprzeciwu było to, że przywracanie tych form, jak sądzili emocjonalni socjaliści, powoduje, w takiej lub innej postaci, nawrót do zła charakterystycznego dla kapitalistycznych stosunków społecznych. Lenin, dostrzegając ograniczoną tego sprzeciwu, wskazywał, że w stanie porewolucyjnej ruiny gospodarczej trzeba umieć skorzystać z wszystkich, bez wyjątku, form ekonomicznych. Bez tego bowiem nie sposób zbudować przemysłu ani wytworzyć koniecznych więzi między klasą robotniczą i chłopami. Rzecz w tym tylko — mawiał — by wiedzieć, że są to formy przejściowe i przyjdzie moment rezygnacji z nich. Komunizm ujawnia się tutaj nie jako ślepe podążanie za ideałem, lecz jako proces, który się urzeczywistnia przez konkretną technologię działania. A ta — z kolei — wymaga uwzględnienia stosunków między klasami, stanu gospodarki, wydajności pracy itd. Rewolucja w pełni wykonała zadania burżuazyjno-demokratyczne, lecz stworzenie ustroju dyk-

KWIATEK DO KONTUSZA

kula
w płot

Są ludzie, którzy mają jakby specjalny dar trafiania kulą w płot. Po prostu żadne z ich przewidywań nie spełnia się. Gdy powiedzą, że coś będzie tak i tak, bywa najczęściej inaczej. Czasami wręcz przeciwnie. Tacy ludzie żyją wszędzie, pod każdą szerokością i w każdym ustroju. Jedno z plemion zamieszkujących nieprzystępne pasma górskie Nowej Gwiney uczyniło z takich współplemieńców swoistego rodzaju „negatywnych wróżbitów”. Jeśli oni przepowiadają urodzaj, to będzie nieurodzaj, jeśli pomór świń (podstawowego dobra wśród Papuasów, Kanaków i innych ludów) — świny będą zdrowo przybywały na wadze.

Kulopłotowców nie brak wśród naszych publicystów, felietonistów, ekonomistów czy futurologów. Stosowną listę mogą sporządzić sami Czytelnicy. Wśród niefortunnych prognostów nie brak również znakomitości. Niepowodzenia w orzekaniu o rzeczywistości widocznie nie mają negatywnego wpływu na ich kariery. Może taka tolerancja i dobre świadectwo o naszej kulturze... Nie chodzi tu jednak o wyliczanki czy sporządzanie list osób, które „dały plamę”, bo i plama plamie nierówna, i osoby też są różne. Jedni, mimo popełniania pomyłek, przekonują nas do swej fachowości, drudzy zrażają, chociaż mylą się rzadko.

Przez wiele lat czytałem filmowe recenzje Zygmunta Kałużyńskiego w „Polityce” i utwierdzałem się w przekonaniu, że Kałużyński, to niewątpliwie świetny znawca filmu, na którego opiniach zupełnie nie można polegać. Trzeba tu zaznaczyć, że jednak większość ludzi czyta recenzje po to, żeby „dowiedzieć się” na co

diabelski
Bóg

tatury proletariatu to sprawa długofalowa i wielofazowa.

„Prawdziwi rewolucjoniści — mówi Lenin — najczęściej skreślali kark wtedy, kiedy słowo »rewolucja« zaczynało pisać z dużej litery, wynosić »rewolucję« na wyżyny nieomal boskości, tracić głowę, zatracać zdolność spokojnego i trzeźwego zastanowienia się, rozważenia, sprawdzenia, w jakiej chwili, w jakich okolicznościach i w jakiej sferze działalności trzeba umieć przejść do działania reformistycznego. Prawdziwi rewolucjoniści zginą (nie w sensie porażki zadanej z zewnątrz, lecz w sensie wewnętrznej klęski ich sprawy) tylko w tym wypadku — ale w tym właśnie wypadku zginą niechybnie — gdy zatracą poczucie rzeczywistości i uroją sobie, jakoby »wielka, zwycięska, światowa« rewolucja bezwarunkowo mogła i powinna wszelkie zadania i we wszelkich okolicznościach, we wszystkich sferach działalności rozwiązać w sposób rewolucyjny”.

Zwolennicy socjalizmu emocjonalnego nie widzą rzeczywistych

sprzeczności okresu przejściowego, są więc abstrakcyjni. Wyobrażają sobie, że socjalizm można i trzeba realizować niezależnie od uwarunkowań, bez odpowiedniej taktyki i strategii. Sprzeciwiając się wszakże, w imię poczucia rzeczywistości, zwolennikom owego socjalizmu — Lenin bynajmniej nie aprobował postawy będącej prostym jej odwróceniem; postawą chępliwego funkcjonariusza. O-tóż ów funkcjonariusz widzi przede wszystkim „fakty”: układy, układziki, przez które załatwić można wszystko, cokolwiek się chce — fuchy, „fachowców”, przywileje. I to jest dla niego „prawdziwa” rzeczywistość; coś, przez co realizuje swe życiowe interesy. Dla niego „mieć poczucie rzeczywistości” nie znaczy widzieć przejściową konieczność pewnych stosunków, lecz widzieć jako konieczność to, co mu życie ułatwia. Nie będzie więc dostrzegał sił i sprzeczności społecznych, danych w konkretnej formie stosunków, które — w interesie klasy robotniczej i tylko jej — muszą być przeobrażone. To będzie dla niego sfera abstrakcyjnych wniosków. Jego rzeczywista wiedza to wiedza kamerdynerska, obsługująca indywidualne interesy. Dlatego, jak powiada Lenin, praktyczną pracę zastąpią zatwierdzaniem tez, produkowaniem hasła i będzie gotowy „w każdej minucie dnia i nocy napisać tezy, wysunąć hasła, uraczyć nas czystymi abstrakcjami”. Pozostaje więc bez reszty we władzy tych stosunków,

które partia, w procesie socjalistycznego budownictwa, musi przekształcać. Przekształcanie nie zjawia się mu jako problem. To, co spostrzeże, będzie zawsze istniało samo dla siebie. Nie dlatego bynajmniej, by nie umiał postrzec związków, lecz dlatego, że wszelkie rozumienie więzi zostaje tu przymglone przez interesy własne lub układu, w jaki pozostaje uwikłany. Nie wzrok ma zły, lecz oczy należą nie do niego.

Postawa Lenina nie była arytmetyczną sumą tych dwu postaw, według zasady; tam jest trochę dobrego, ale i tutaj coś się wyszczelnia. O-bie uważały za szkodliwe. Pierwsza — bo prowadzi do działań pochopnych; druga — bo utrudnia realizację strategii partii (aparatu złożony z samych chępliwych funkcjonariuszy niechybnie zniweczyłby wątłą tkankę socjalistyczną i prowadził do nawrotu stosunków kapitalistycznych). Zadanie, które w związku z tym się wyłania, jest piekielnie trudne: jak nie dać się zwieść emocjom, a równocześnie nie stać się bezwiednym apologetą stosunków okresu przejściowego; jak zmieniać te stosunki w kierunku socjalizmu?

Jeżeli Leninizm traktujemy nie jako partyjne zakłęcia, które odsłody do abstrakcyjnych norm — spróbujmy skorzystać dzisiaj z powyższej klasyfikacji. Zachowajmy też Leninowskie pytania, bo są one, jak sądzę, także pytaniami ważnymi dzisiaj. Wszak mamy swoich emocjonalnych socjalistów, choć są oni w mniejszości. Wiemy, że partię rozłożyli chępliwi funkcjonariusze. Nie pozbyliśmy się ich do tej pory, bo masyżka rozliczeniowa była zbyt prymitywna, by tego dokonać. Oni to właśnie nie mówią o koniecznych taktycznych zwrotach i działaniach, lecz np. o „socjalizmie rynkowym”, który jest czymś takim, jak diabelski bóg. Socjaliści emocjonalni są skrajni, nie chcą żadnych kompromisów. Chępliwi funkcjonariusze widzą możliwość stałego cofania się. Do ścian. Postawa prawdziwa dzisiaj, jak i za czasów Lenina, nie powinna być ich arytmetyczną sumą.

Myślę, że są w partii siły, które ją reprezentują. Wierzę, że zwyciężą. Inaczej to pisanie byłoby niepotrzebne, a pytania na początku — retoryczne.

JAN KUROWICKI

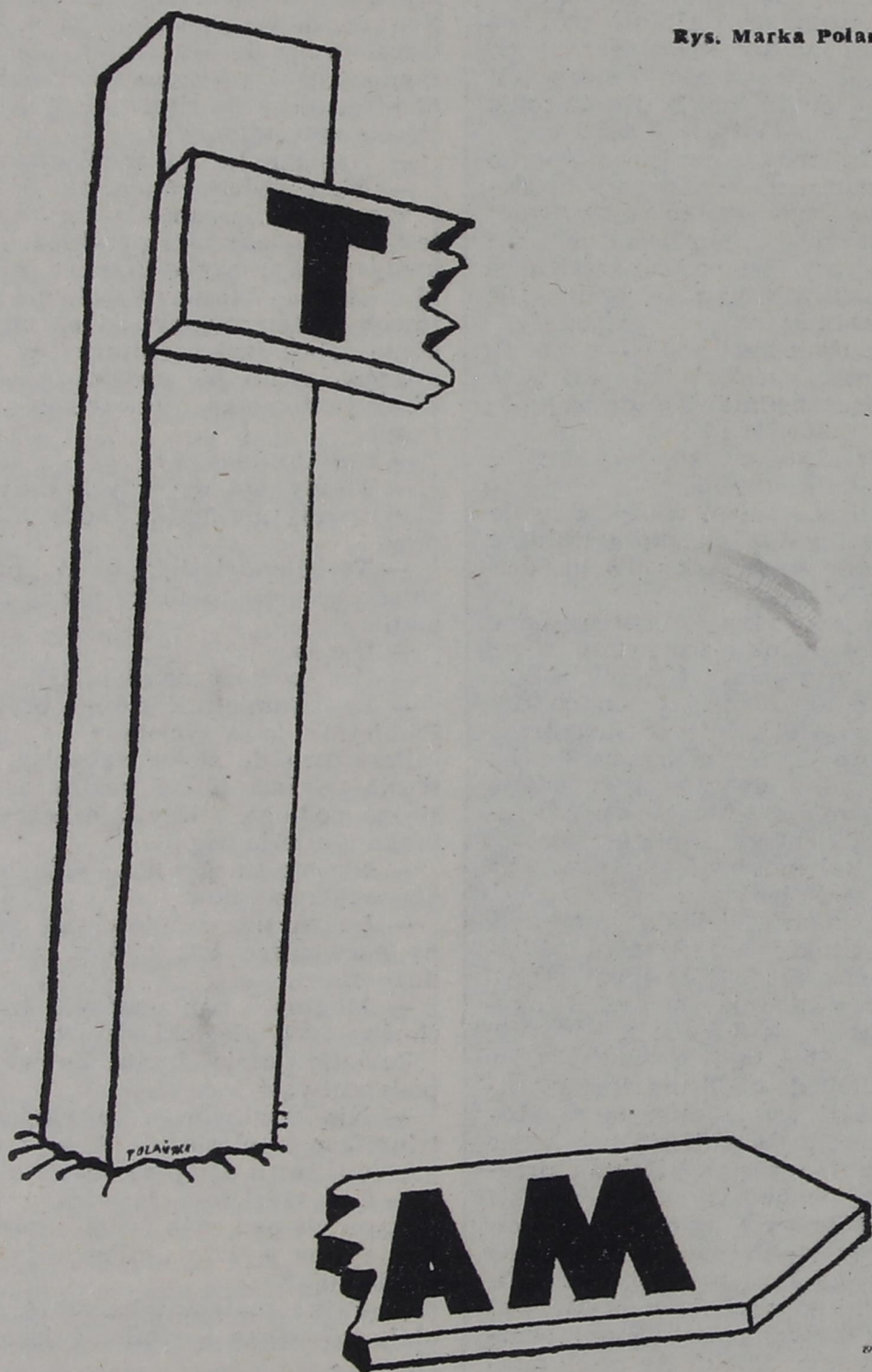
pinii korzystamy, bo już wiemy, na czym owe błędy polegają. Są jednak dziedziny, w których błędy — w ocenie czy w przewidywaniu — nie mają aż tak wielkiej taryfy ulgowej. To przede wszystkim polityka i publicystyka. „Błądzący” polityk przegrywa i musi odejść; „błądzący” publicysta traci zaufanie i wiarygodność. Jesteśmy skłonni o-bu podejrzewać o niefachowość. A przecież powodem błędów może być również przeintelektualizowanie czy niechęć się z nastrojami mas.

Osoby publicznie występujące w sprawach ważnych dla społeczeństwa muszą liczyć się z tym, że ich działalność będzie oceniana właśnie przez społeczeństwo; tym ostrzej, im więcej dyskusji wzbudziło ich wystąpienie. Sam należę do osób, które nie ujawniają nietrafnych lub niedojrzałych sądów. Oczywiście, nie ma mowy o nieomyślności. Ten atrybut zostawiam istotom nadprzyrodzonym czy wróżbitom.

Przed czerstym trafianiem kulą w płot, chroni mnie jednak obserwacja i logika. Np. już w czerwcu pisałem, że z realizacją kartek mięsnych mogą być trudności. A w TV czy innych „przekazalorach” niemal zachwycano się kartkami, zapominając, że kartka to nie towar, a reglamentacja do tego stopnia utrudnia pracę handlu, że kolejki muszą się wydłużyć lub stracić na efektywności. Pisałem też, że „propaganda klęski” jest jeszcze bardziej szkodliwa niż propaganda sukcesu. I proszę, w RFN-ie trzeba było zamknąć obóz dla uchodźców (głównie z Polski) z powodu nadmiaru chętnych. Ludzie pozbawieni perspektyw, obywateli, którym wpaja się, że jeszcze przez kilka lat nie będą mieli co włożyć do garnków, reagują rozmaicie: zniechęceniem, ucieczką, wzrostem agresywności. Dlatego są nam potrzebne trafne i śmiałe plany, a następnie — żelazna konsekwencja w ich realizacji. Zbyt wiele bowiem mieliśmy reform, które załamywały się na połowie drogi, przysparzając raczej szkód niż pożytku.

I tego podstawowego błędu nie można już powtórzyć. Bo nie będzie ani chętnych do usprawniania, ani do rządzenia — biorącego pod uwagę opinię społeczną.

STRYJEC



pójść do kina, a co zupełnie spokojnie „można sobie darować”. Co dla mnie wynikało z takiego prywatnego odczytania Kałużyńskiego? Doszedłem do pewnego, trudnego do sformalizowania, szyfru. Otóż większość filmów polecanych przez „Czołchacza” (jak go ochrzczili telewidzowie) — po obejrzeniu — okazywała się zwyczajnymi chałmami. Oczywiście, w moim subiektywnym odczuciu, ale to odczucie działało również i w drugą stronę, więc „pomyłki” Zygmunta Kałużyńskiego niwelowały się na poziomie mojej świadomości. Z uznawanymi słowami Kałużyńskiego na ogół nie walczyłem. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek zaatakował Wajdę, Kurosawę, Bunuela czy Kubricka. Ale miał wyraźną tendencję do lekceważenia świetnie zrobionych filmów popularnych — komedii, westernów — i przesadnie wysokiego notowania rzeczy miernych, epatujących sztucznym uduchowieniem (użebieniem — jak twierdzi pewien krytyk literacki), czy tzw. „zawartością myślową”.

Nadmierne intelektualizowanie to cecha wielu krytyków, nie tylko filmowych. Często z byle g... chcą na siłę zrobić filozofię. Tymczasem do

kina chodzimy po to, żeby obejrzeć film, nie zaś po to, aby polukać, przetworzoną na obraz, „zawartość myślową”. Nasze zapotrzebowanie na filozofię lepiej zaspokaja lektura Kanta, Husserla czy Zazubiriego (hiszpański filozof, który za kilka lat może okazać się bardzo modny). Naturalnie, chodzi się również na filmy dyskusyjne, omawiane, „głośne” — po to, aby móc zabrać głos w jakiejś rozmowie, wypowiedzieć swoje zdanie. Walory poznawcze, filozoficzne filmów stanowią domenę krytyki. Dzieła X Muzy, sprowadzone do swego przesłania, serwują nam tak przeraźliwy banał, że można zawyć z nudów, dlatego nikt nie stara się opisywać i oceniać filmu w kategoriach filozoficznych; z wyjątkiem krytyków-intelektualistów. Ale ich też można z pożytkiem przeczytać, ba, podejmować racjonalne decyzje w oparciu o te, nie zawsze mądre i uzasadnione, rozważania.

Posłużyłem się przykładem z lektury recenzji mistrza Zygmunta, aby przekonać Czytelników do czegoś, co jest intuicyjnie oczywiste: fachowość nie zawsze oznacza nieomyślność. Często widzimy błędy fachowców, i mimo to jakoś z ich o-



idzie nowe

Stoimy z kolegami w Warszawie pod dziwnym sklepem, który ma być otwarty za trzy dni, a więc w chwili, gdy do czytelnika dociera ten tekst, w sklepie panuje wielki ruch, bo to jest sklep jakby trochę znany, ale jednocześnie dziwny. Otóż w tym sklepie są pełne półki, leżą na nich gitary elektryczne najdroższych firm zachodnich, perkusje, organy, ale nade wszystko — większe i mniejsze wzmacniacze fender, marshall, pivey — co kto jeszcze chce. Sklep jest dziwny, bo nowy, ma pełne półki, zaś ceny na nich w dolarach. Firma z RFN, prowadzona przez pana Bema, uruchomiła swoją filię w Warszawie.

Otwarcie sklepu Bema zeszło się z zakonoczeniem międzynarodowego festiwalu jazzowego „Jazz Jambo-ree”, który też był dziwny, i to wcale nie z powodu występujących na nim artystów polskich i zagranicznych, a z powodu ich występu w ogóle. Kilka tygodni temu pisałem o proponowanej przez władze PRL likwidacji tej, jednej z największych na świecie, imprezy jazzowej z braku zielonych funduszy. I oto stała się rzecz nieoczekiwana. Wszystkich wykonawców amerykańskich sfiansonowała ich ambasada w Warszawie, a każdy zapewne się orientuje, iż zabawa idzie o grube dolary. Zeby natomiast dopełnić reszty, Polskie Stowarzyszenie Jazzowe podpisało kontrakt z firmą „Lee”, która — jak wiadomo — produkuje poszukiwane na rynku (przynajmniej polskim — na bazarze spodnie kosztują 8 tysięcy złotych) ubiory dżinsowe i sztruksowe. Umowa zawarta jest na dwa lata i dotyczy współpracy reklamowo-jazzowej. „Lee” przysłał nam opłacone już gwiazdy jazzu, amerykańskiego zwłaszcza, za co nasi organizatorzy na scenie przyczepią znaczki firmowy i zrekłamuja portki.

Zaledwie trzy fakty z ostatnich dni, ale jakże znaczące. Nareszcie ktoś bowiem poszedł po rozum do głowy (czy trzeba było czekać, aż nędza zapuka o dno?) i zezwolił łaskawie na rzeczy, które odbywają się na całym świecie i nie budzą niczyjego zdziwienia. Bem chciał otworzyć filię już dawno, ale mu nie pozwalano, chociaż nie widzę różnicy między sprzedawaniem w Polsce za dolary majtek i kozuchów, a handlowaniem gitarami i wzmacniaczami, zwłaszcza że pewien „odsył” i tak trafia do kieszy państwa. Reklama „Lee” nikomu nie przeszkadza, gdyż i tak każdy Polak wie o istnieniu takiej firmy, chociaż nie każdy może sobie pozwolić na zakup jej produktów. Jest to reklama dla nas obojętna, bo tak samo nie stać nas na wranglery czy inne lewisy. Chodzi o coś innego. Filmy z występami Sandersa, Cobhama czy Lockwooda kupuje po takim festiwalu od nas cały świat; i ten świat widzi, jak nad grającymi jazzmanami buja sobie znaczki „Lee”, zaś z balkonów wyskakują kowboje ubrani w nowiutkie garnitunki sztruksowe. To jest ta groza, przed którą broniliśmy się irracjonalnie tyle lat, a która zjeżdża teraz nawet z naszych stadionów w czasie międzynarodowych meczów.

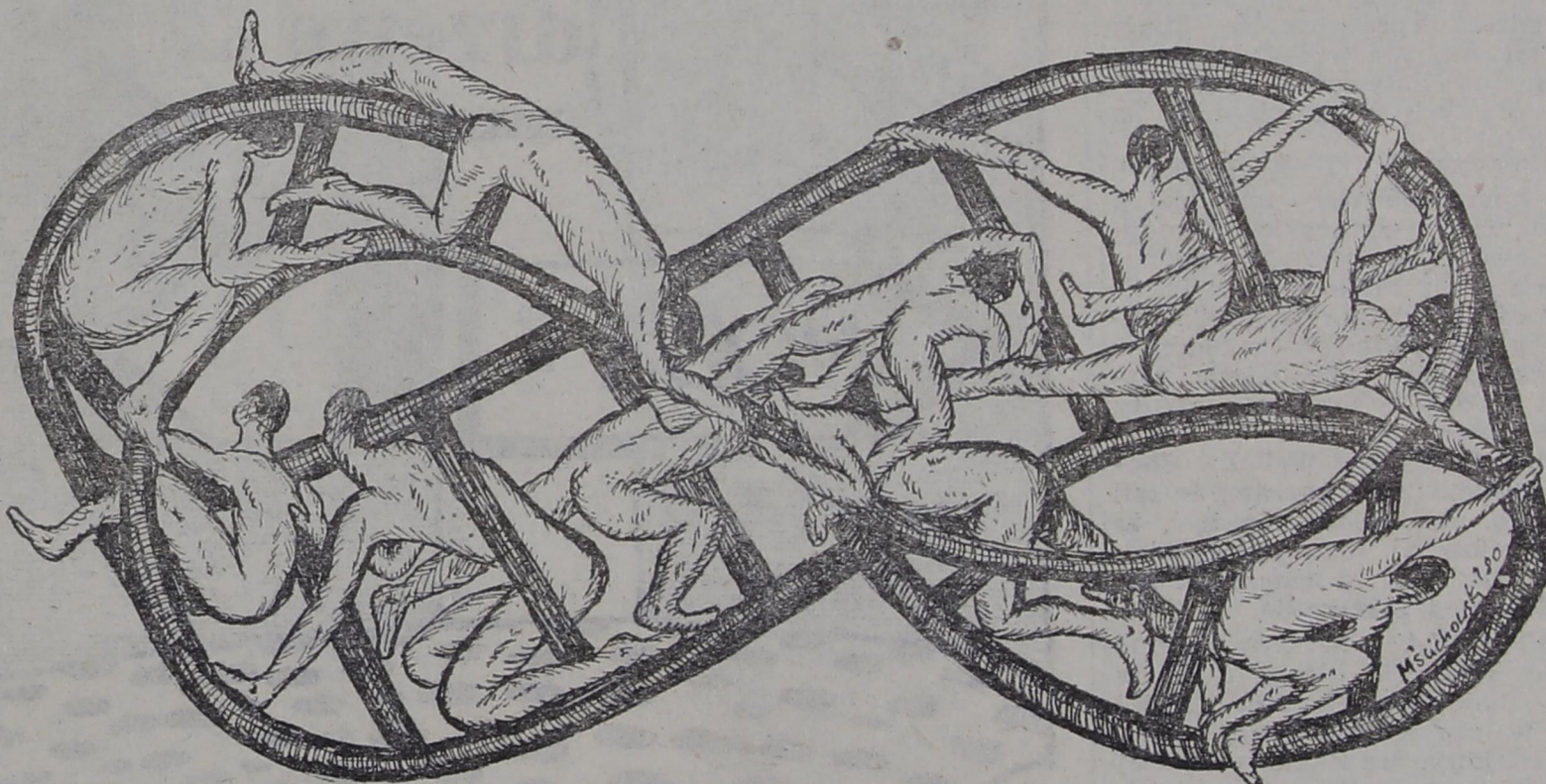
Nie wiem, czy mój entuzjazm nie jest czasem przedczesny, chociaż dla mnie ważniejsze jest wysłuchanie Sandersa czy Carli Bley niż łapanie się prawą ręką za lewe ucho, czyli dumnie nad tym, jakie szkody może to przynieść naszej dumie narodowej. Otóż przykłady takiego racjonalizmu mieliśmy już w Polsce niejednokrotnie, ale zawsze ktoś tam dochodził później do innych wniosków i rzecz cała kończyła się klęską. Przecież w każdej chwili „Dziennik Telewizyjny” może dojść do wniosku, że ambasada amerykańska płaci Cobhamowi dolarami otrzymanymi od CIA.

Stoimy przed sklepem Bema. Podchodzi do nas starszy pan i pyta: panowie, co to za ceny tam na tych skrzynkach? Mówimy, że obok sumy jest litera „S” dwa razy przekreślona, p onowymi kreskami. No, dobrze, wreszcie jesteśmy bliżej — mówi starszek. Nie wiem, co miał na myś-

Zaniedbałam odrobinę korespondencję, ponieważ w mieszkaniu panował taki ziąb, że miałam do wyboru albo leżenie pod pierzyną, albo rozgrzewanie się ucieczkami przed każdą, powracającą do domu na zimę, polną myszą. Potem trochę je tresowałam, a raczej stresowałam, przy pomocy rzutów kapciem, aby definitywnie oduczyć bywania w salonie i sypialni. Podczas tych wspólnych igraszek zdołały mnie jakoś oswoić i ostatecznie zezwoliłam im na użytkowanie toalety i kuchni. Z kaszą mazurską i chudym twarogiem włącznie. Myszy są w końcu dużo mniejszym dopustem Bożym niż okradające piwnię. Niejeden komplet wecków grzybowych, ogórkowych czy owocowych padł ich łupem. Sprawę ułatwia im fakt, że w Łomży — pewnie eksperymentalnie — nie montuje się drzwi wejściowych do piwnicy (z dobrych chęci zostały tylko framugi) a obywatel dzielnicowy, zamiast śledzić i dochodzić, ogranicza swą działalność do spisywania skradzionego dobytku.

Do mojej piwnicy ktoś dobierał się trzykrotnie, ale gdy się zorientowałam, że cały skarb — 15 kilogramów jabłek, 5 kilogramów cebuli i 3 paczki papieru toaletowego — wniosłam na górę, a zostawiłam trochę surowców wtórnych, dał spokój sfatygowanym sztachetom. Wolę więc kontakt z moimi polnymi gryzoniami. Kto wie, może czeka nas wspólny los — śmierć głodowa na przednówku; nie tym, to następnym. Już teraz połowa kraju głośno protestuje przeciw podłemu odżywianiu się i zarastaniu brudem.

Przypominają mi się słowa Jasia Pruszyńskiego, powtarzane w innych czasach i okolicznościach: „Kto żyje jak świnia i żre jak świnia, w końcu zacznie kwiczeć”. No i sprawdziło się, dwukrotnie, lecz częściowo. Bo gdy się lepiej wsłuchać, to łatwo stwierdzić, że są i tacy, co szczerkają, ryczą, wyją, kwilą. Czasem ktoś beknie, a jeszcze rzadziej — przemówi ludzkim głosem.



Rys. Władysław Mściuchowski

BAŚŃ DLA DOROSŁYCH

Radomir i Budziśława tak podobali się ludziom, że ci postanowili ich umieścić w klatce. Tak! W pięknej, wygodnej, błyszczącej, pachnącej. Jako usprawiedliwienie powtarzali, że ich umieścili, a nie zamknęli. Zapewnili im wszystkie wygody a-b-y w zamian móc patrzeć na pełnię ludzkiego szczęścia. Zapomnieli, albo usiłowali to uczynić, że i księżyc nie zawsze może być w pełni. Podobnie człowiecze szczęście.

Ale stało się!

Budziśława i Radomir żyli w klatce ustawionej w samym środku najpiękniejszego placu. Na oczach wszystkich jedli, spali, rozmawiali, kochali się. Byli tak piękni w tym wszystkim, że patrzący nań zaraz chcieli ich naśladować. Wielu udawało się to i coraz więcej było podobnych do długonogie Budziśławy, do smukłego Radomira.

Ale zaczęło się też dziać coś innego!

Bo oto ktoś wrzucił do klatki złoty banan litościwego banału. Ktoś inny usiłował przez szczeble podać swą gipsową rękę. Ktoś trzeci podpowiadał szczęśliwą receptę na szczęście w trzy dni. Widać chciał, żeby Budziśława i Radomir byli jeszcze szczęśliwsi. Ktoś czwarty darował wysnzione mozołnie liczby totalizatora: zero, zero, zero, zero, zero, zero i dodatkowo też zero.

I stało się to, co się stać musiało. Przestały radośnie dzwonić złote

PRZYJACIELSKIE POGWARKI

szczerkano i opluto już wszystkich i wszystko: partie (głównie PZPR), związki zawodowe (absolutne pierwszeństwo „Solidarności”), grupy zawodowe (ostatnio górników i rolników, a wcześniej dyrektorów, ekonomistów, polityków i dziennikarzy) i wiekowe (ci emeryci!).

Po takim pogromie zaproponowano, żeby z tego, co ocalało skleić coś nowego: jednolitą mozaikę, forum starcia i dotarcia się sił i elementów. Pomyślałam, że to sensowne i że ma szansę powodzenia, bo ja od dawna żyję z moim prywatnym modelem FJN (Front Jednostki Niezależnej); ze znaczkami „Solidarności” w kłapie, legitymacją partyjną w kieszeni i medalikiem na szyi rozstrzygam na własny i publiczny użytek problemy swoje, cudze i nasze, osądzam niezależnie i samodzielnie sobą rozporządzam. U mnie to gra, ale wątpię, czy uda się ten model upaństwowić. Coś mi się bowiem wydaje, że ktoś tam u góry tak bardzo chciał tej jedności, iż przedobrzył w środkach, i zamiast jednego frontu — jedności, zaczęły się tworzyć dwa, na dodatek opozycyjne.

Niepokoje to mnie bardzo, ale póki mogę, działam sobie cicho, lecz konstruktywnie. Na ostatnim posiedzeniu Sesji uchwalam sobie wniosek o przeprofilowanie „Powogazu”. Wytwarza on taczki i nie szczególnego dla województwa z tego nie wynika (jeśli chodzi o jakiś ruch, to słyhać o windowaniu, a nie o staczaniu). Taczki są wprawdzie dość korzystnie eksportowane do południowych województw, ale tam tylko z tego skandale i zamieszanie. A można by choćby zwykłe widły produkować — i wartość użytkową posiadają, i jak położysz na półce, to je widać. Wymagałoby to jednak pokiwania głową oraz przełamania schematów i przyzwyczaję. Ale jak tu coś przełamać, skoro nawet ha-

kochana Alusiu

łować tryb rozkazujący pierwszej osoby liczby mnogiej od „przełamać”. Zgrabnie brzmi jedynie „przełamujmy” — w podtekście: usiłujmy w nieskończoność, a żeby tak od razu — przełamamy? Widzisz, zdecydowane i ostre posunięcia nawet w hasłach nie wypalają. Dużo łatwiej wydać rozkaz sobie samemu: przełam, przełamuj!

Dziś przełamie więc konwenans i nie pocałuję Cię na zakończenie listu, a to z powodu złego stanu, higienicznego jamy ustnej. Te kłopoty powinny się skończyć po oddaniu do użytku osiedlowych wysokościowców. Widzę już, jak unosisz ze zdziwienia brwi. Czyżbyś zapomniała, że żyjemy w świecie naczyń połączonych i że wszystko ma wpływ na wszystko? Otóż w wysokościowcach są zsypy. A jak są zsypy, to i są szczury. Odpasione szczury należy łapać i palić, a uzyskany popiół można używać jako substytut pasty do zębów. Patent zapożyczony od Starożytnych. Oczywiście, ponieważ z trudem opanowuję lek przed myszką, nie będę robić „w szczurach”. Zainwestuję po prostu mój nawis, zatrudniając łapacza i palacza. Znowu się dziwisz, skąd mam oszczędności, skoro zawsze zarabiałam poniżej średniej krajowej. Wyjaśniam, że jestem aktualnie bogato-biedna, tzn., że zostaje mi mnóstwo pieniędzy po wykupieniu czegoś się da na kartki: chleba, mleka i twarogu, ale czuję się bardzo biedna, gdy pojedę np. na bazar Różycykiego. Nie wiem, czy stać mnie będzie kupić na święta gęś i kilogram kiełbasy. Niektórzy radzą mi, żebym się nie zamartwiała, bo do Nowego Roku wiele może się zmienić. No to głowa do góry! Cześć!

KAROLINA

widok z klatki

kolejki Budziśławy. Zniknął promienny uśmiech z opalonej twarzy Radomira. Bo oto nie mogli już oni sprawić, aby na placu, gdzie mieszkali, był zawsze dzień i świeciło słońce. Przychodziły długie, ciemne noce. Samotność pięknej pary zaczęła dawać nieznane dotąd im obojgu owoce.

Mówił Radomir:

— A ja wiem, że nadzieja jest jak zwodzony most, którego nie ma kto opuścić, widzę ją z naszej klatki nawet z zamkniętymi oczami.

Mówiła Budziśława:

— Wpierw zamknęli nas w tej klatce, a potem umieszczają w podobnych wszystkich ludzi. Każdą patrzec w zachwyceniu na kamienne miasto z drzazgą drzewa w sercu, każą patrzeć na ludzi, co jak stada obłoków na niebie. Wiatr nimi rządzi, a nie oni sobą.

Lęk ogarnął ludzi, którzy słuchali tych wyznań. Bo Radomir nie mówił jak mężczyzna, a Budziśława jak kobieta. Na nie zdało się umieszczenie nad klatką obrotowych lusterek. Piękną parę coraz bardziej bolały tysiące oczu wbijane każdego dnia w ich ciała i słowa. I co gorsza, okazało się, że ze smutku też można brać przykład. Spod klatki odchodzili ludzie podobni do zwiedniętych kwiatów. W wirujących lustrach migotał najpiękniej czarny smutek. Nie więcej!

Budziśława skarżyła się cicho, ciuchutecznie, jak najciszej, aby nikt nie słyszał:

— Chciałabym komuś przeczytać las, przeczytać wodę...

Jak echo odpowiadał jej Radomir:

— Chciałabym przynieść las, chciałabym przynieść wodę. W obu dłońiach...

Pisał beznadziejne listy-podania o zwolnienie go i żony od dożywotniego widoku z klatki, wnosząc o ulaskawienie. Cóż, kiedy nie znał adresu, pod który należało wysłać błagalne listy. Aż jednego dnia zjawił się pod klatką Wojsław, święty wędrowiec, o którym mówili, że świat przeszedł wokół już sześć razy.

— Dam wam dobrą radę — powiedział. — Dość czekania-blagania! Klatkę rozwalić i przestać żyć bezgrzesznie! Na pokaz!

Rada była piękna i oczywista. Aż dziw brał, że nikt do tej pory na nią nie wpadł. Nadaremnie jednak próbował Radomir rozgnać błyszczące pręty klatki. Nie ustępowały. Więc Wojsław obiecał sprowadzić zza siódmej góry małego Dobrowitę, przed którym rozstępowały się nie tylko wszystkie płoty i otwierały zamknięte bramy, ale i najtęższe mury pozwalały swobodnie przejść.

Już cały rok oczekuje Budziśława i Radomir na przejście zapowiedzianego Dobrowitę. Czy się doczekają? Czy nie spodoba im się w końcu widok klatki?

EMIL BIELA



REPORTER: Będzie to audycja o skandalu. Ministerstwo Leśnictwa doprowadza do niszczenia Puszczy Białowieskiej. Mamy tu do czynienia z niebywałym paradoksem — zabójczym dla przyrody — wydalaniem w sobnym. Wydalanie w sobne brzmi śmiesznie i strasznie, zwłaszcza że chodzi o Puszcę, która została wpisana przez Organizację Narodów Zjednoczonych na listę tak zwanego „Światowego dziedzictwa człowieka”.

REPORTERKA: Zaraz za Hajnówką skręcamy w żwirową drogę, wiodącą do leśnictwa Sacharewo. Zostawiamy za sobą małą osadę leśną i idziemy w głąb Puszczy. Po paru kilometrach silny powiew wiatru przynosi, dobrze nam, mieszcuchom, znaną woń. Czujemy fenol. Po chwili widzimy rozległe grzęzawisko oraz kikuty olch, dębów i świerków. Są z nami: zastępca nadleśniczego z Hajnówki, Bazyl Wołkowycki, i stary leśniczy, Józef Szerszunowicz. Zdawać się może, że w Puszczy wszystko po staremu.

BAZYL WOŁKOWYCKI: Ale jest inaczej. Drzewostan sam się odnawia, z odrośli i samosiewu, tymczasem widzimy, że owszem, są ślady odnowienia odrosłowego, ale po latach sześciu, siedmiu, to wszystko zasycha. Czemuś jest skazane na zaginięcie. Praktycznie wszystkie cenne asortymenty przez te ostatnie dziesięć lat obowiązującego planu w opał się zamieniają.

REPORTER: Ile lat pan pracuje w puszczy?

JÓZEF SZERSZUNOWICZ: No, ja w puszczy jestem urodzony, a pracuję w leśnictwie dwadzieścia dwa lata. Kiedyś drzewostan tutaj był piękny! Z jesionów, które ciałem, nawet forniery były po dwa pasmetry, a sklejki od metra do trzech — sześciennych. Ale wszystko zostało wycięte, a nic nie zalesiliśmy.

BAZYL WOŁKOWYCKI: Na około 40 hektarach powierzchni wszystko jest nie odnowione, zamienione w bagno. Blisko 150 hektarów drzewostanu jest pod wpływem oddziaływania ścieków, a samych łąk w dolinie rzeki Leśnej — pięćset hektarów gdzieś. Tereny, które były kiedyś łąkami, pod wpływem niekorzystnego oddziaływania tych ścieków fenolowych, są zamienione na nieużytki!

REPORTERKA: O zniszczonych łąkach trochę później, przy okazji opowiadania o szatańskich pomysłach i nowoczesnych myślowych, nazywanych przez białowieskich leśników „rzeźnikami-sportowcami”. Idziemy przez wyliniałą szkółkę w stronę szerokiego, cuchnącego rozlewiska. Z daleka widać kikuty wielkich drzew.

JÓZEF SZERSZUNOWICZ: Cholernie śmierdzi, przepraszam, że tak wyrażę się. Jak deszcz ma być, to ja wtedy już od razu czuję: aha, śmierdzi, już czuć, to znaczy, że ma padać deszcz. I faktycznie.

REPORTERKA: Musimy teraz wyjaśnić, skąd się bierze fenol w Puszczy Białowieskiej. Otóż na jej skraju, w uprzemysłowionej Hajnówce, znajdują się Zakłady Suche Destylacji Drewna. Ścieki z nich płynące zawierają duże stężenie związków fenolu. Zakłady podlegają Ministerstwu Leśnictwa, tak samo zresztą, jak — niestety — Puszcza Białowieska. Urzędnicy Ministerialni są znakomicie zorientowani w sytuacji; bywa, że polują w Białowieży. Wiceminister Leśnictwa, Roman Filipowicz, zna Puszcę jak własną kieszeń, bowiem przez lata pełnił funkcję dyrektora Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Białymstoku. I wówczas słał pisma do ministra z prośbą o ratowanie białowieskiej kniei. Z chwilą zaś, kiedy sam zasiadł w czysty ministerialnego gabinetu, zapomniał o elaboratach wysyłanych do urzędu, który sam dziś piastuje.

JÓZEF SZERSZUNOWICZ: Już tyle razy była tu komisja, panów dyrektorów tyle przyjeżdżało, pokazywałem, chodził śmy wszędzie... Potem przyjeżdżali z województwa, pisali...

REPORTER: Czy można to przełiczyć na pieniądze?

BAZYL WOŁKOWYCKI: W 1969 czy 1970 straty w drzewostanie wynosiły — orientacyjnie — ponad cztery miliony. A jeszcze sprawa w ogóle środowiska, tych łąk, straty w rolnictwie ogromne. Trudno byłoby to wszystko podliczyć. No, dziesiątki milionów złotych!

REPORTERKA: Dziś już wiemy, że za stracone bezpowrotnie drzewa, zatrutą wodę i skażone hektary grunty płacimy o wiele więcej niż

za wybudowanie oczyszczalni ścieków w Hajnówce.

JÓZEF SZERSZUNOWICZ: Skutki tego fenolu, proszę pana? Dębina — jak wygląda? Do pewnego czasu rośnie, a potem ginie. Już, tej olchy, drągownicy, nic.

BAZYL WOŁKOWYCKI: W partiach drzewostanu od dziesięciolecia obserwujemy systematyczne przybywanie suszu. Wierzchołki usychają, korona zanika i w końcu ginie całe drzewo.

JÓZEF SZERSZUNOWICZ: Rzeźka Leśna pobiera swoje początki z Hajnówki i tam jest uregulowana, ale za miejscowością Sacharewo nie jest uregulowana i nie ma wpływu, więc robi się zatrute rozlewisko. Często rzeka zmienia kierunek i wtedy ścieki pompowane są do jej różnych dopływów. Trudno określić, w którą stronę Leśna płynie.

JÓZEF SZERSZUNOWICZ: Jak się tu zimową porą skąpiesz, śmierdzi ubranie cały tydzień, nie można go wymyć.

nadają się do niczego. Trzeba tę zwierzynę karmić, ale u nas to jakoś tak... Przywiozła tej tam kuku rydzy, posypia, a potem przyjdzie jeden, drugi, i strzelają.

REPORTER: Najgorszy jest fakt, że na stu — 99 to „rzeźnicy-sportowcy”. Dziś w Puszczy Białowieskiej zwierzynę się nęci, rzadziej dokarmia. Nęci się ją po to, by móc łatwo zabijać przy paśnikach. Niektórzy „rzeźnicy” podjeżdżają pod paśniki samochodami; z ich widokiem zwierzeta się oswoiły. Bywa, że strzelają nie wysiadając nawet z samochodu. Dzikie zwierzęta tracą instynkt samozachowawczy. Człowiek pozbawił je naturalnych państwisk, zatrul ściekami wodopoje, a przy urządzonych przez siebie karmowiskach zorganizował śmiertelne zasadzki. Wszystko to dzieje się w łonie odpowiedzialnego Ministerstwa Leśnictwa.

REPORTERKA: Wchodzimy do owianych złą sławą Hajnowskich Zakładów Suche Destylacji Drewna. Fabryka wygląda ponuro. Z kośla-

cam się do Obywatela Ministra w oparciu o artykuł 83 „ustawy o ochronie i kształtowaniu środowiska” z wnioskiem o wystąpienie do ministra Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego w celu podjęcia decyzji zmierzającej do likwidacji i — w następnym etapie — odtworzenia w innych warunkach lokalizacyjnych Zakładu Suche Destylacji Drewna w Hajnówce. Wymieniony zakład ze względu na przestarzałość urządzeń, tragiczne warunki bezpieczeństwa i higieny pracy zatrudnionych tam ludzi, brak właściwych urządzeń, służących ochronie środowiska, powoduje jego degradowanie w strefie bezpośredniego oraz pośredniego oddziaływania i zagraża bezpieczeństwu życia i zdrowia ludzkiego [...]. Okres pięcioletniego zwolnienia z obowiązku oczyszczania ścieków, nadanego na podstawie artykułu 135 Prawa Wodnego, zakład wykorzystał wyłącznie w części dotyczącej nieplacenia kar. Powodowane zanieczyszczenie powietrza atmosferycznego ma bezpośredni związek z zagrożeniem życia i zdrowia zarówno zatrudnionych pracowników, jak i mieszkańców pobliskich terenów. Stwierdzono na podstawie wielokrotnych badań przekroczenia stężeń środków toksycznych w powietrzu od sześciu do czterdziestu ośmiu razy w stosunku do dopuszczalnych norm. Ta sytuacja powoduje zarówno w poszczególnych stanowiskach pracy, jak i w strefie ochronnej, w której znajduje się całe osiedle mieszkaniowe. O tragicznych skutkach zanieczyszczenia powietrza świadczy 25 przypadków ostrego zatrucia tlenkiem węgla, zarejestrowanych w ostatnich latach przez służby lecznictwa zakładowego, które sygnalizują także zwiększone wystąpienie u pracowników szeregu chorób dróg oddechowych (pylica, gruźlica, nowotwory płuc). Najdobitniejszym przykładem panujących tam warunków pracy jest fakt, że średnio, na szesnaście osób składających wnioski o przejście na emeryturę i rentę, dziesięć odchodzi na rentę inwalidzką, natomiast sześć na emeryturę. Taką samą sytuację stwierdza służba lecznictwa otwartego w zakresie tego samego typu chorób w części miasta i okolicznych wsiach, zlokalizowanych w obrębie oddziaływania zakładu, na kierunku najczęściej wiejących wiatrów. [...] Biorąc pod uwagę istniejący stan zagrożenia życia i zdrowia ludzkiego wnoszę o likwidację wyżej wymienionego zakładu”.

MAREK KEDZIERZAWSKI: Tutaj jest szczególny przypadek, ponieważ zakład, na mocy przepisu Prawa Wodnego, uzyskał w roku 1975 zwolnienie z budowania oczyszczalni ścieków, natomiast miał partycypować w budowie oczyszczalni miejskiej.

REPORTER: W mieście oczyszczalni nie ma...

MAREK KEDZIERZAWSKI: Prace prowadzone były w ten sposób, żeby wszystkie zakłady partycypowały w budowie miejskiej oczyszczalni, a ten zakład został zobowiązany do rozpracowania technologii oczyszczania własnych ścieków, zawierających fenole i smoły. Z tej pory nie zrealizował zadania, co wstrzymało możliwość projektowania oczyszczalni miejskiej. Bez podczyszczalni zakładowej miejska oczyszczalnia przestałaby funkcjonować.

REPORTER: Jeśli dobrze zrozumiałem, teraz Hajnowskie Zakłady Suche Destylacji Drewna pracują nieprawnie.

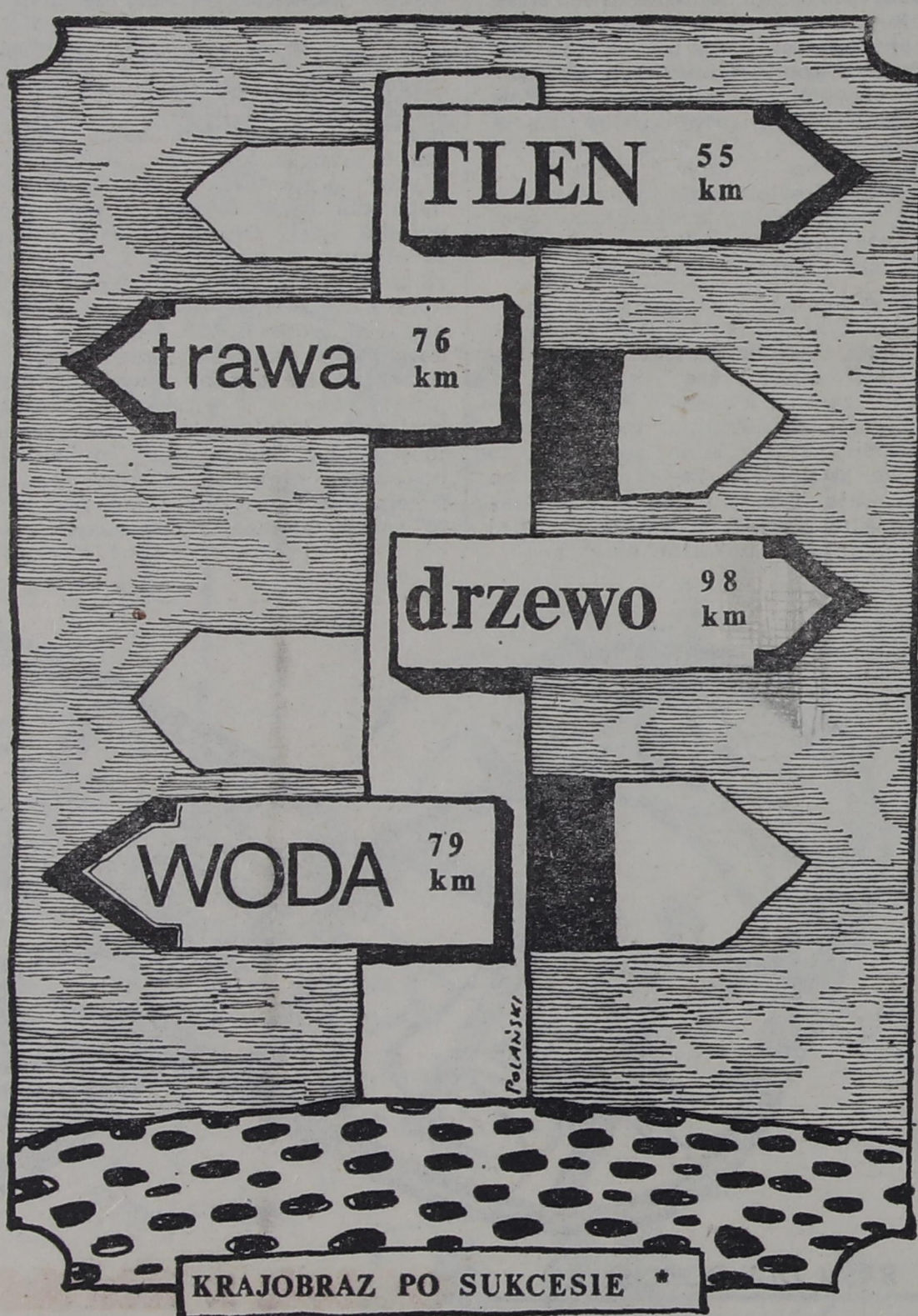
MAREK KEDZIERZAWSKI: Z punktu widzenia Prawa Wodnego — tak, dlatego że pozwolenie na odprowadzanie ścieków im się skończyło w roku osiemdziesiątym, a nowego pozwolenia nie otrzymali, bo nie zbudowali własnej podczyszczalni. Zgodnie z przepisami — zakład powinien być zamknięty. Uciążliwość jego ścieków polega przede wszystkim na tym, że są w nich fenole. W rzece poniżej Hajnówki bardzo często występuje wskaźnik ich obecności 6, 8, do 10 miligramów na litr, przy normie 0,05!

REPORTER: Wyobraźmy sobie, że dzisiaj fabryka zostanie zamknięta na klucz, a klucz utopiony w tych ściekach. Kiedy te 150 hektarów Puszczy Białowieskiej wróci do normy?

MAREK KEDZIERZAWSKI: W drzewostanie puszczy te zmiany są nieodwracalne.

BARBARA CIRUK
TOMASZ PIOTROWSKI
Rys. Marka Polańskiego

wydalanie



wsobne

REPORTER: Wcale nie trzeba się w Leśnej kąpać, aby przekonać się, że jest trująca. Cała dolina śmierdzi. Z daleka też cuchną śródlądne łąki, będące do niedawna naturalnymi pastwiskami. Niedługo pasła się na nich zwierzyna, siana starczało też dla okolicznych chłopów.

JÓZEF SZERSZUNOWICZ: Tam kończyła roślina, żubry stały. I tu sterczały setki stogów siana, które w okresie letnim gospodarze ustawiali, a że były to podmokłe tereny, zabierali aż zimową porą, jak ścisnęły mrozi. Zwierzyna płowa z tego korzystała, bo miała paszy w bród. Teraz zamienilo się to wszystko w bagno i zwierzyna nie ma co jeść. Trzeba ją intensywnie dokarmiać, bo ogryza młody drzewostan.

REPORTER: Kiedy zwierzyna płowa pałuje zagajniki, to szkody są łatwe do obliczenia: pan wynajmuje robotników, płaci im dniówki, oni sadzą las, potem te szkółki się pielęgnują, one odrastają, wreszcie przychodzą losie czy jelenie i zjadają je.

JÓZEF SZERSZUNOWICZ: Żeby zjadały tylko po trochu! Ale pałają dosłownie tak, że szkółki nie

wych budynków z początków naszego stulecia wielkimi liszajami odpada czarny tynk, ukazując ceglane ściany. Dymiące piece i kominy, ludzie o ziemistych cerach, w brudnych drelachach. Przy jednym z odsłoniętych palenisk pracuje niestara jeszcze kobieta. Idziemy czarna, rozjeżdżoną drogą żużlową. Wszędzie cuchnie fenol. Przy końcu drogi, tuż przy rozwalającym się parkanie, dwa nieduże baseny ze smolową cieczą, wykopane wprost w ziemi, zabezpieczone tylko przegniętymi deskami i — gdzieś — kamieniami. Te cuchnące bajora udają zakładową podczyszczalnię ścieków. Przedwojenni kapitaliści, właściciele fabryki, nastawieni wyłącznie na zysk i wyzysk, w podobny sposób magazynowali trujące nieczystości, które — jak dziś — przesiąkały do wód gruntowych.

REPORTER: W gabinecie Marka Kedzierzawskiego, dyrektora Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska w Białymstoku, znajdujemy pismo wicewojewody białostockiego z 10 IV br.: „Dr Ludwik Ochocki, podsekretarz stanu Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska w Warszawie. Zwa-



Czasem były zgrzyty i w pracy. Kolega napisał do dyrekcji kopalni skargę na mnie, że namawiam go do sabotażu. Kopalnia zawiesiła mnie w czynnościach. Strasznie to przeżywałem. Takiej potwarzy nie doznałem w życiu. Sprawa długo się ciągnęła. Przed sądem dopiero przyniósł się do winy, że chciałem zaszkodzić, bo stale otrzymuję nagrody pieniężne, bo zostałem społecznym inspektorem pracy na oddziale, a potem mężem zaufania. Byłem zbyt rygorystyczny w pracy. Sam pracowałem solidnie, ale wymagałem od innych. Sąd uznał mnie niewinnym. Jego natomiast skazał na grzywnę i karę w zawieszeniu. Dyrekcja kopalni zwolniła go dyscyplinarnie za wprowadzanie w błąd i sianie fermentu wśród załogi. Byłem czysty, ale przeżywałem to bardzo ciężko.

W 1960 roku na jesieni zapisałem się do technikum ekonomicznego dla pracujących. Dom zszedł jakby na bok. Nie podejmowałem decyzji sam, ale uzgodniłem z żoną. Ona miała chodzić do piątej klasy szkoły podstawowej, a ja do pierwszej technikum. Powstało współzawodnictwo między mną, żoną i dziećmi. Fajnie to wyglądało. Stale pytały się jeden drugiego, jaki kto otrzymał stopień. Czasem łąłem, jak złapałem dwójkę, bo i te się trafiały. Na świadectwach miałem stopnie „państwowe” i w nagrodę dostawałem raz książkę. Nie korzystałem z żadnych ulg. Ciężko było, ale jak się uczyłem, dopiero poznałem smak wiedzy. Dorównać setkom tysięcy takich, co ukończyli szkoły, dorównać dzisiejszej młodzieży, dorównać czasowi, w którym żyjemy — to było moje pragnienie.

Do szkoły przychodziłem bardzo zmęczony. Nie raz na lekcjach kleiły mi się oczy. Trzeba było walczyć z samym sobą. Nie poddawać się. Czasem ten i ów pracownik umysłowy zapytał: — Dobrze pan zarabia, po co panu nauka? — A ja na to nie zważałem. Pamiętałem jedno: „Nie chcesz być bitym, to nie zostawaj w tyle”. Więc pochłaniałem wiedzę. Czas mieliśmy wypełniony po brzegi. Teraz do naszego domu częściej zawiatała książka z biblioteki. Wszyscy pożyczaliśmy. Zaczęliśmy kupować co ciekawsze książki. Żona w tym roku, kiedy najmłodszy poszedł po raz pierwszy do szkoły, ukończyła siódmą klasę, i wahała się, czy pójść dalej. Dzieci i ja namawialiśmy, a ona: — Kto będzie dbał o dom, dzieci przygotowywał do szkoły, pilnował sniadania, obiadu, porządków w domu? Łatwo jest powiedzieć: uczyć się. Już jeden stałe jest poza domem. — I tak zostało.

W 1963 roku znowu wybuchł pożar w kopalni, znowu ciężka praca, ponad siły. Ratować kopalnię było trzeba, miejsce pracy wielu tysięcy górników. Opuściłem się w nauce. Miałem trudności z przyswojeniem zaległego materiału. Uczyłem się, a nie w głowie nie pozostawało. Wstyd mnie ogarniał przed samym sobą i kolegami. Niektórzy byli zadowoleni, nawet odmawiali mi pomocy. Jednak znalazł się ktoś, kto był gotów mi pomóc. Mieszkała poza miastem osiem kilometrów. Jeździłem tam na korepetycje. Żona czasem podejrzliwie patrzyła na mnie, czy nie zabawiam się z nią w miłość. Dochodziło czasem do scysji. Ale ona miała męża na stanowisku. Mimo wszystko nie zaliczyłem księgowości. Już nie zdołałem nadgonić. Czas planowany na urlop poświęciłem nauce.

W 1964 spotkało mnie nieszczęście. Po badaniu okresowym odmówiono mi pracy w charakterze górnik. Starałem się przekonać lekarzy, że nie mi nie jest. Ale lekarz zakładowy nie dał się przekonać. Specjalista wyraźnie napisał, że nie mogę być górnikiem dołowym. Zwróciłem się do dyrekcji na piśmie, by mnie zatrudniła w charakterze ekonomisty. Dyrekcja odmówiła tłumacząc, że nie mam matury. Co robić? Zarabiałem przeciętnie około 5000 złotych miesięcznie, a teraz nagły skok do 1000 złotych zaliczki rentowej! Sprawa się snuła i snuła. Odwołałem się od decyzji lekarzy. Poparł mnie inspektor nadzoru ZUS, ale badanie przeprowadzone w Klinice Laryngologicznej przez dwóch profesorów przesądziło sprawę: nie mogę pracować jako górnik szybowy i w ogóle pod ziemią. Z tego wszystkiego rozchorowałem się na dobre. Chciałem rzucić szkołę, chciałem sam sobie teraz wmówić, że jestem ciężko chory, inwalida. Po kilka miesiącach

przyszedłem do szkoły. Koledzy otoczyli mnie kołem: — Co panu jest?

— Jest, jest. Tak żeście krakali, że dużo zarabiam, że szkoła mi jest niepotrzebna, to teraz zobaczcie! Tu pokazałem zaświadczenie o rencie inwalidzkiej.

Pojawiły się kłopoty finansowe. Renta inwalidzka (1504 złote miesięcznie), podzielona na pięć osób, dała zaledwie po 300 na osobę. Żona pracy jeszcze nie miała. Sprzedaliśmy tak ciężko kiedyś zarobione meble. Najpierw wersalkę za 1500 złotych (kosztowała 3900), potem otmianę za 1100 (kosztowała 3400), wreszcie szafę, stoliki, telewizor, radia (mieliśmy cztery, w każdym pokoju jedno). I tak pomalutkę pozbywałem się mebli i urządzeń. Mimo wszystko nadal uczyłem się w technikum — już ostatni rok. Nie mogłem tracić szansy. Nie żaliłem się nikomu. Sam przeżywałem tragedię. W domu atmosfera napięta, ale scysji nie było. Czułem, że brakowało jednej iskry, a ogień wybuchłby ze zdwojoną siłą. Częściej z żoną rozmawiałem i dziećmi. Przedstawiałem im naszą sytuację materialną. Upierałem się, że na łakocie i na zabawki więcej pieniędzy nie będzie. Każdy grosz, nawet za butelki po wódce i winie, należało przynosić do domu. Koledzy zobaczyli, że mam trudności, zaczęli mnie unikać, nie odwiedzali. Interesowałem się kopalnią. Przekopami pod szybami, które niegdyś wykonałem.

Nie zdałem matury. Oblali mnie jednego z księgowości. A do tego syn przyszedł z płaczem, że książka na religii wytarła go za ucho. Złość mnie taka ogarnęła. Wrzasnąłem do

żony: ostatni raz wysyłasz dziecko na religię! Koniec zabawy w ciuciubabkę! Ani jedno nie pójdzie! Nie mogę, dla przypodobania się sąsiadom, zmuszać dzieci do tego, w co sam nie wierzę i ty nie wierzysz. Tak zostało, że dzieci nie uczęszczały na religię. Otrzymałem list od księdza, na który odpisałem, że kościół to instytucja oddzielona od państwa, a ja jestem zwolennikiem ateizmu, żona również, i w tym duchu pragniemy wychować swe dzieci.

Jesienią zdałem maturę, do której przygotowywałem się przez całe wakacje. Żona mi w tym pomagała. Podnosiła na duchu. Była to dla mnie wielka radość. Miałem drogę otwartą wszędzie. Zdobyłem nowy zawód. Żona poszła do pracy jako sprzedawca. Zarabiała mało, ale to już coś. Ja dostałem pracę za 490 złotych miesięcznie, też w technikum, tak że mieliśmy już prawie po 600 złotych na osobę miesięcznie. Już było lepiej. Córki ukończyły podstawówkę, poszły do szkół zawodowych. Otrzymały tam stypendia. Znowu poprawiło się życie. Pomalutko, co straciliśmy, zaczęliśmy ponownie kupować do mieszkania. Poszedłem pracować jako kierownik magazynu. Już miałem możliwą pensję. Dopłacał mi ZUS rentę wyrównawczą. Zaczęło się nam dobrze żyć.

Lata przechodziły szybko w naszym życiu. Powstał nowy problem, który musieliśmy sami rozwiązywać. Sprawy seksualne dla dziewczynki były ważne. Tłumaczyłem zasady współżycia i załatwiania tych spraw. Moda była (i jest) na chodzenie z sobą. One — dobrze rozwinięte — szukały sobie kolegów. Jedna w szkole gospodarczej uczęła się za kucharkę, druga — w

Zasadniczej Szkole Górniczej. Syn kończył już ósmą klasę, był prymusem. Uczył kolegów, podciągał. Nie przeszkadzałem. Niech znalazł się społecznie. Potem jak znalazł. Znowu w domu pełno uśmiechów; cieszyliśmy się, że ułożyło się wszystko dobrze. Ale w miarę jedzenia apetyt rośnie. Postanowiliśmy, że żona pojedzie do pracy za granicę, do Czechosłowacji, jak wiele tutejszych. Zostałem z dziećmi. Przyjeżdżała raz w miesiącu.

Syn ukończył ósmą klasę celującą. Za to młodsza córka zawiadomiła mnie, że bierze ślub, bo jest w ciąży. Chłopak przyszedł do mnie. — Wie pan — powiedział — musimy się pobrać.

— Kto z kim?

— Ja z pańską córką.

— Pobierajcie się. — On ukończył technikum mechaniczne już dwa lata temu, ale nigdzie nie pracował. — Z czego żyć będziecie — spytałem.

— Pan nam da 600 złotych miesięcznie, zrobimy umowę notarialną, i mój tata da 800 złotych miesięcznie. Wystarczy.

— Nie, kochaniutki — powiedziałem. — Pójdziesz do pracy jak każdy inny obywatel. Pieniędzy nie dam i nie nie podpiszę.

— Ona nie ma 18 lat. I pan jest zobowiązany ją utrzymywać.

— Ale nie w takim stanie. Nie ożenisz się, zapłacisz odszkodowanie za przerwanie dziewczynie nauki — Po zasadniczej poszła do technikum rolniczego.

O tym także powiadomiłem żonę. Przyjechała z pretensją do mnie, że dopuściłem do takiego stanu. Ale co robić? Sprzedaliśmy część dorobku, by dać jej na nową drogę życia. Wesela nie wyprawialiśmy, przez co staliśmy się wrogami w rodzinie. Jak to: ożenić córkę i nie zaprosić na wesele?! Pół litra wódki wypiliśmy w pięć osób. Tyle było wszystkiego.

— Gospodarzcie jakoś po nowemu — powiedziałem. Oni „po nowemu” kupili: złote obrączki, telewizor „Beryl”, szafę na wysoki połysk i inne drobne rzeczy, zamiast złożyć na mieszkanie spółdzielcze. Zięć ze mną nie rozmawiał, bo sąd zmusił go do podjęcia pracy. Wysztyt w dodatku, że młody, po szkole, a nie pracuje, tylko żeruje na pomocy teścia-inwalidy i ojca-rencisty. Po tym wszystkim starsza córka zawiadomiła, że bierze ślub z Pepikiem z Czechosłowacji. Ja go nie znałem. Żona przyszłego zięcia znała. Czasem córka mamie przegadywała, że podwała się do przyszłego zięcia, na co żona oburzała się. Był przygotowany materialnie: miał mieszkanie spółdzielcze, meble i wszystko, co potrzeba.

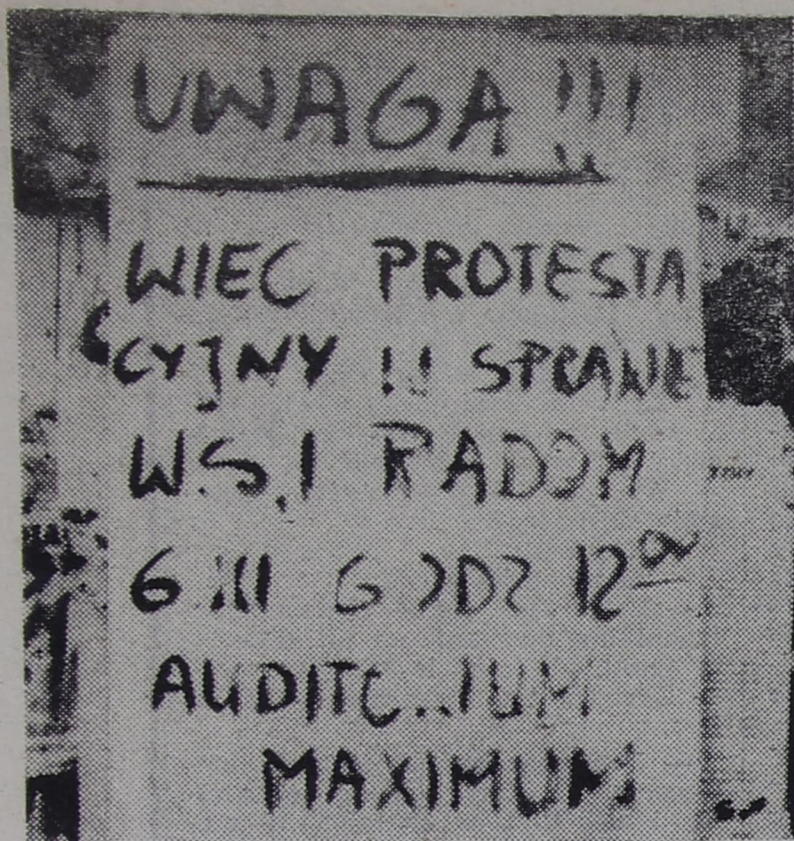
Byłem samotny. Życie prowadziłem z synem. Dzieliłem się z nim wszystkimi przeżyciami. Córka Irene pogriewała się na mnie. Nie przyszła również pochwalić się, że urodziła ładną dziewczynkę, którą nazwała Luiza. Zostałem dziadkiem, mając zaledwie 45 lat. Teraz spostrzegłem, że mam faktycznie na skroniach siwe włosy.

Żona nadal pracowała w Czechosłowacji. To oddalało nas. Przyjeżdżała do mnie obca, podejrzliwa, już nie żona. Wyglądało to tak, jakbyśmy sprzykrzyli się sobie. Zaczęliśmy układać sobie życie według nowej mody: ona ma kochanka i ja mam kochankę. Ta cicha zgoda trwała do pewnego czasu. Syn pojechał na wakacje do Czech i po przyjeździe przedstawił mi sprawę po męsku. Mnie to ubożyło. Przez życie szliśmy stale jeden obok drugiego, podnosząc się w nieszczęściu, a teraz, przy potknięciu, jeden drugiemu nie podał ręki, by go podnieść. Nie mogłem przeboleć tego, bo ją kochałem. Cóż z tego, że miałem stosunki z obcą kobietą, kiedy do niej nic nie czułem! Wydawało mi się, jakbym był odarty z tego najlepszego, z mych uczuć i miłości, która należała się innej osobie. To samo potem powiedziała mi żona o swoich przeżyciach. Byliśmy sobie potrzebni. Miłość spletała się z przyzwyczajeniem i przywiązaniem. Postanowiliśmy rozciąć ten węzeł gordyjski: żona przerwała pracę w Czechosłowacji, wróciła do domu skruszona. Nie mówiłem jej nic, bo sam też nie byłem bez winy. Zatrudniła się w szkole, gdzie pracuje do dnia dzisiejszego. Nie wymawiamy sobie nawet w gniewie swych błędów. Śmiejemy się z tego sami i przygotowujemy się do srebrnego wesela.

EDWARD APANEL
Rys. Stanisława Kędziawskiego

misjonarz w czerwonym krawacie



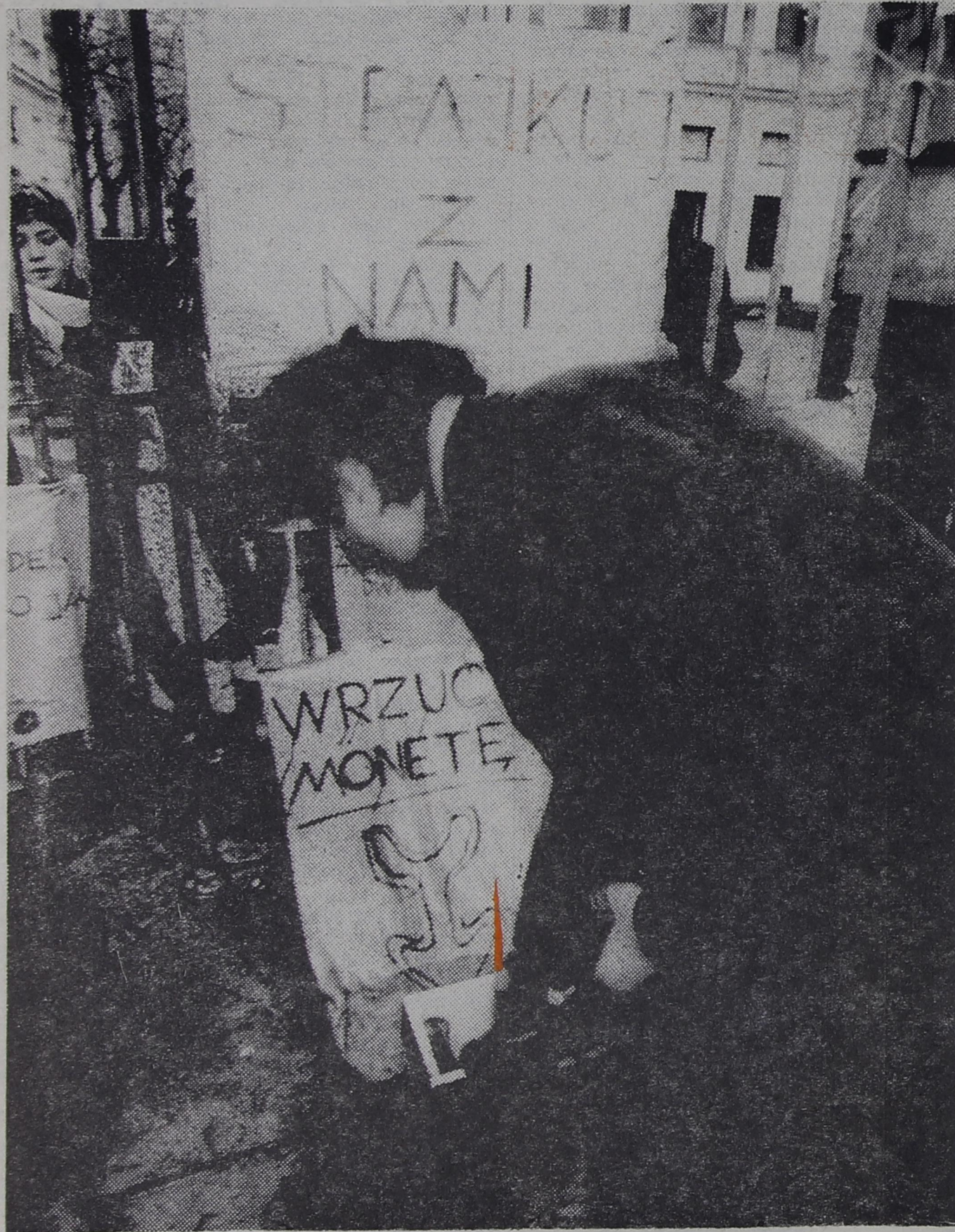
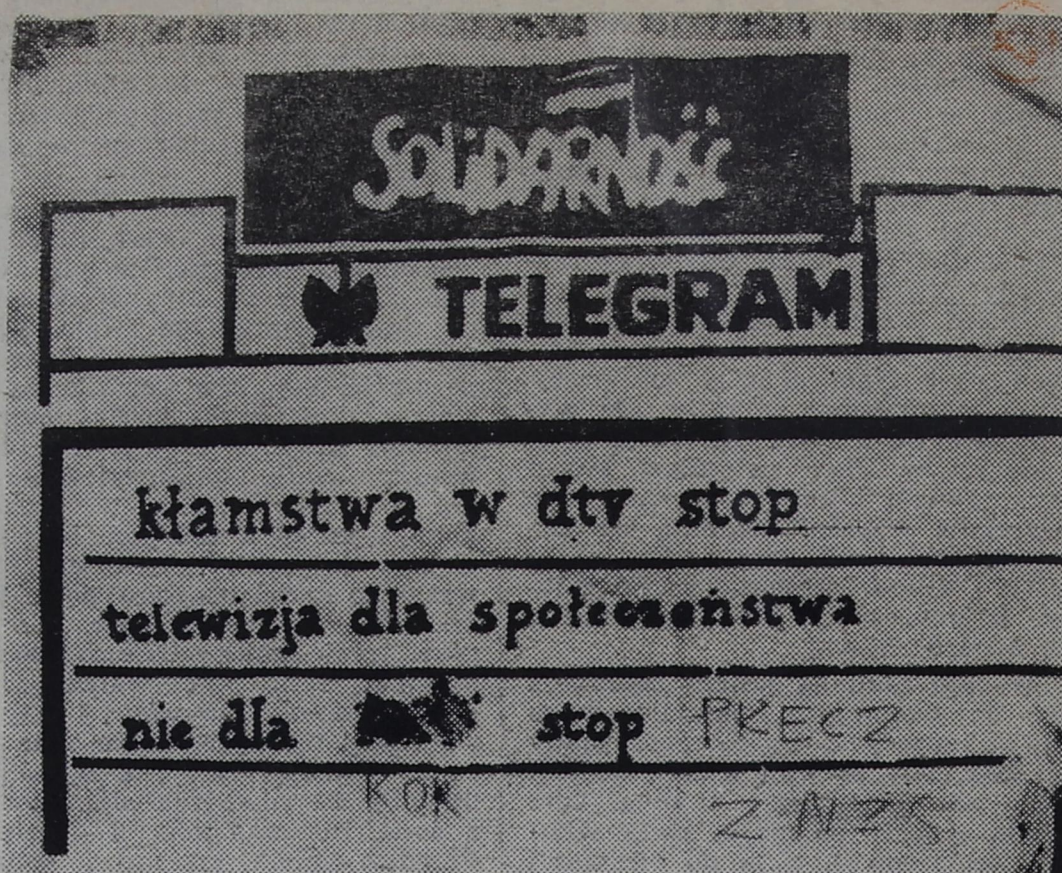


Uniwersytet Warszawski jako pierwszy rozpoczął strajk. Teraz strajkuje już prawie 33 uczelnie. Jak się robi studencki strajk: zamyka bramy, ściąga spiwory, gitary i dobrą muzykę. Ściany oblepia się plakatami, wyznacza się „Legię Porządkową”. Wydaje się „Gazetę Strajkową” i je „zupe strajkową”. Jak się student znudzi, bierze przepustkę i wyskakuje na miasto. Megafon przy bramie informuje przechodniów o co się rozchodzi. „Mówi się że mitrzymy czas. To nieprawda. Rodzice! Tu chodzi o przyszłość waszych dzieci”

2000 studentów zadeklarowało się stale okupować budynki (na 15 tys. studiujących). Senat rozumie młodzież: każdy chce się „wystrajkować”. Kiedy ustąpi? Gdy prof. Hebda z WSi w Radomiu ustąpi, a zółwia ustawa o szkolnictwie wyższym zostanie uchwalona w brzmieniu gwarantującym autonomię wyższych uczelni.

Pomyślnej sesji.

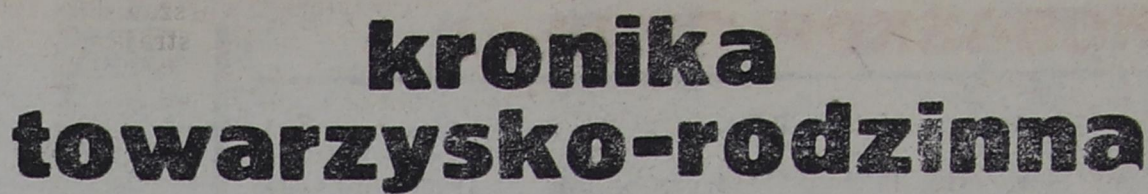
(ajs)



strajkuj razem z nami



Zdjęcia: Gabor Lörinczy



dopiero — jak mówi — 85 lat. Mieszka z żoną na skraju rezerwatu „Czerwone Bagno” w gminie Ruda koło Grajewa. — Jak nie mam roboty w gospodarstwie, to jadę do syna i pomagam budować mu dom. Bez pracy jestem chory. Recepty na długowieczność nie znam, bo był okres, że kielicha wychylało się codziennie i człowiek mimo to zdrowy. Może tylko jedna uwaga — wszystko trzeba robić z umiarem.

Fot. GABOR LÖRINCZY

PUNKT WIDZENIA

godło i popiersie

brak odpowiedniej liczby sal w gmachu KC wieczorem 27 listopada zbiera się 7 grup wojewódzkich, a rano w dniu następnym 3 grupy problemowe: I Sekretarze KZ PZPR, rolnicy, pracownicy kultury, oświaty i nauki. W ten sposób Biuro Polityczne stworzyło warunki do wszechstronnego omówienia problematyki będącej przedmiotem obrad KC. Miało to istotne znaczenie dla wypracowania ostatecznej wersji uchwały.

2) Zabierając głos w III zespole poruszyłem m.in. sprawę ostatnich wydarzeń w Chorzowie i zdaniem moim nieodpowiednią reakcją w tym przypadku organów porządkowych. Z ogromną satysfakcją w dniu następnym z wystąpienia Tow. S. Zaczekowskiego dowiedzieliśmy się, że Komendant Główny MO odwołał ze stanowiska komendanta miejskiego w Chorzowie właśnie za nie taką jaką powinna być interwencja oraz za politycznie niestusne wystąpienie tegoż komendanta w TV.

3) Nowością VI Plenum było również blokowe wystąpienie w końcowej części obrad czterech ministrów i wicepremiera PRL, którzy w sposób merytoryczny ustosunkowali się do wszystkich spraw podniesionych w czasie dyskusji.

I jeszcze jedna refleksja. Od IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR minęło niewiele ponad cztery miesiące. W tym czasie odbyło się sześć plenarnych posiedzeń KC. W normalnych warunkach tej liczby posiedzeń wystarczyłoby na połowę kadencji. Ale teraz czas wrzący, niewzwikły. Partia musi więc pracować intensywnie. Tak właśnie pracując poszukuje sposobów na przyspieszenie unormowania sytuacji społeczno-politycznej kraju. Podjęta na VI Plenum KC uchwała i zawarte w niej koncepcje są tego kolejnym dowodem.

Włodzimierz Michaluk
Z-ca Członka KC,
I sekretarz KW PZPR
w Łomży.

WYSTAWY

Biuro Wystaw Artystycznych — Salon
Wystawowy, ul. Armii Czerwonej 19
(czynny codziennie — oprócz poniedział-
ków i dni poświątecznych — w godz.
12.00—19.00, w wolne soboty i niedziele
w godz. 13.00—16.00): wystawa malarstwa
Włodzimierza Książka.

Galeria Dawnej Fotografii, ul. Marianna Buczka (witryna sklepu tekstylnego):
Z. Krum — „Pierwsza konna bateria”
(fotografia z 1918 r.).

Galeria Jednej Fotografii, ul. Ściegienego 1 (witryna sklepu „Foto-Optyka”): Stanisław Lesiak — „Sabała”.

**Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzy-
we Koło 1 (czynne codziennie – oprócz
poniedziałków, wtorków i dni poświa-
tecznych – w środy i piątki w godz.
10.00–18.00, w czwartki i soboty w godz.
10.00–16.00, w niedziele w godz. 11.00–
17.00): „Sierpecka rzeźba ludowa” – cza-
sowa wystawa ze zbiorów Muzeum i Par-
ku Etnograficznego w Sierpcu.**

W RAZIE POTRZEBY

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giel-
czyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetycz-
ne.
999 — Pogotowie Ratunkowe
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skło-
dowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę.

Ogłoszenia drobne

BIURO Matrymonialne „Katalog”,
Łódź 8 — zaprasza, podaj adres —
nawiążemy kontakt.

K 4138-1

BIURO Matrymonialne „Piast”
84-300 Lębork, skrytka pocztowa 22
— poleca usługi.

p 1253-0

SZCZĘSLIWIE kojarzy małżeństwa
— Biuro Matrymonialne „Mazury”
Olsztyn 2, skr. 336.

K 2712-0

MIESZKANIE własnościowe w Łom-
ży — kupię. Tel. Łomża 48-92.

p 1263-

KREDENS „retro” — sprzedam
Łomża, ul. Kwiatowa 15, tel. 24-86
p 1284-

„ŁADE” 1500 S (dwuletnią) — pilnie sprzedam. Józef Bagiński, Szczuczyn ul. Majewskiego 6, tel. 157.

p 1251-

DOM jednorodzinny lub mieszkanie
własnościowe w Łomży — kupię. Ka-
zimierz Raszkievicz, Kotowo Stare
18-420 Jedwabne.

g 3068.

[illegible]

KONTAKTY

HOROSKOP CHINSKI

SZCZUR

Urodzeni w latach: 1900, 1912, 1924, 1936, 1948, 1960, 1972

W sprawach zawodowych spróbuj połączyć swój wysiłek z pomysłowścią Smoka. To idealny partner dla ciebie. Jego energia i talenty gwarantują sukcesy i korzyści. W sprawie miłości i przyjaźni warto rozstrzygnąć się za kimś urodzonym pod znakiem Małpy.

BYK

Urodzeni w latach: 1901, 1913, 1925, 1937, 1949, 1961, 1973

Najważniejsze będą kontakty zawodowe z kimś urodzonym pod znakiem Świni. Pamiętaj, by jej pracowitości i staranności nie zrazić zbytym z twojej strony komenderowaniem i narzucaniem własnych koncepcji. W sprawach osobistych docen życzliwość Konia.

TYGRYS

Urodzeni w latach: 1902, 1914, 1926, 1938, 1950, 1962, 1974

Mimo że wyda ci się to nieprawdopodobne, rozstrzygnij się za Zającem, który w tym miesiącu okaże się bardzo dobrym partnerem w sprawach zawodowych! Poznasz teraz kogoś spod znaku Szczura i to będzie ktoś, na kogo warto było tak długo czekać. Gdy zdobędziesz sympatię, możesz liczyć, że niedługo będzie to serdeczna przyjaźń.

ZAJĄC

Urodzeni w latach: 1903, 1915, 1927, 1939, 1951, 1963, 1975

Sprawy zawodowe dobrze ruszą i rozwiną się, jeśli będziesz działać wspólnie z Tygrysem. Tygrys będzie miał doskonałe pomysły, chwylami wydadzą ci się wręcz genialne. W życiu prywatnym pojawi się ktoś spod znaku Byka. Może nastąpić wielkie wzajemne oczarowanie...

SMOK

Urodzeni w latach: 1904, 1916, 1928, 1940, 1952, 1964, 1976

Ktoś spod znaku Małpy z szacunkiem przyglądać się będzie twemu działaniu. Ty — ze swej strony — z sympatią przyjmiesz pomoc Małpy, gdy ci ją zaproponuje. To będzie dobra spółka! W kręgu spraw prywatnych pojawi się jakiś atrakcyjny Wąż...

WĄŻ

Urodzeni w latach: 1905, 1917, 1929, 1941, 1953, 1965, 1977

Współpraca z Zającem powinna przynieść wiele korzyści. Mimo drobnych różnic zdań, wszystko powinno ułożyć się znakomicie. Jeśli idzie o sprawy sercowe — wiele kontaktów ze Szczurem. Nie będą to kontakty szczęśliwe.

KOŃ

Urodzeni w latach: 1906, 1918, 1930, 1942, 1954, 1966, 1978

Przyjdzie ci pracować w tym miesiącu z kimś spod znaku Psa. To cię ucieszy, bo Pies działa na ciebie kojąco, jego spokój i pewność siebie mają na ciebie doskonały wpływ. Prywatnie — uważaj na Koguta! Wprawdzie osoba ta robi na tobie korzystne wrażenie, ale porozumienie będzie prawie niemożliwe.

KOZA

Urodzeni w latach: 1907, 1919, 1931, 1943, 1955, 1967, 1979

Sporo będzie spraw zawodowych do załatwienia z osobą pod takim samym znakiem, co ty, i choć pod wieloma względami będziecie się idealnie zgadzać, do ostatecznego porozumienia nie dojdzie. W sprawach osobistych sympatyczne kontakty z Małpą. Ubawi cię, ale to wszystko.

MAŁPA

Urodzeni w latach: 1908, 1920, 1932, 1944, 1956, 1968, 1980

Gdyby ci się udało wciągnąć do współpracy Psa, można by spokojnie działać. Pies gwarantuje ci powodzenie. Jego poczucie odpowiedzialności, pracowitość i pomysłowość bardzo wiele mogą znaczyć w twoich planach. Jeżeli w życiu prywatnym spotkasz Szczura, możesz liczyć, że nie będzie nudno...

KOGUT

Urodzeni w latach: 1909, 1921, 1933, 1945, 1957, 1969, 1981

Byk to dla Koguta znakomita para. Oboje spokojni, trochę konserwatywni, ale bardzo pracowici i sumienni. Jeśli chodzi o sprawy osobiste, rozstrzygnij się za Smokiem. Możecie przeżyć razem wiele interesujących chwil.

PIES

Urodzeni w latach: 1910, 1922, 1934, 1946, 1958, 1970

Tylko Zając może ci konkretnie pomóc w twoich kłopotach zawodowych. Stara przyjaźń z Koniem może teraz przynieść jakieś kłopotliwe komplikacje, ale poradzisz sobie, bo z Koniem zawsze można się dogadać.

ŚWINIA

Urodzeni w latach: 1911, 1923, 1935, 1947, 1959, 1971

Spośród wielu spraw, które przyjdzie ci załatwić, te będą udane, w których zetkniesz się z kimś spod tego samego znaku. Świnia! Za nią się pilnie rozglądaj szukając powodzenia. Prywatnie najmiłszy okaże się Kogut.

JA MOGĘ NAPISAĆ O WASZYCH BŁĘDACH I WYPACZENIACH POD WARUNKIEM, ŻE WY PRZESTANIECIE PISAĆ O NASZYCH SUKCESACH



DONOS NR 26

Poziom umuzykalnienia w piekle centralnym jest powszechnie znany. W tej materii panuje absolutna anarchia i decentralizacja. Nawet chóry piekielne pieją niczym nierządne koguty po przepiciu. Ponieważ jest to niwa, na której plewy przescigają ziarno w kielkowaniu, trzeba się nią błyskawicznie zainteresować.

W służalczej dbałości o dystyngowane uszyska piekielnego motłochu przygotowano tekst przeboju nad przebojami o nie spotykanych dotąd walorach językowych, prawdziwa perełka piekielnej twórczości piosenkarskiej:

Na dobry początek — a psiki!
He, he, he;
bla, bla, bla;
pla, pla, pla;
chlap, chlap, chlap;
hep, hep, hep;
hurra! (O, przepraszam, to nie z tej puli).

Prawda, że wspaniale? Każdy wers aż prosi się o powtórzenie z pięćdziesiąt razy, taki sugestywny. Po każdym słowie aż w nas coś gra, coś tak po flakach jeździ jakby smykem, i to jest właśnie autentyczny punkt widzenia. Cudowne!

Jeszcze tylko nadworny rzęposmyk rąbnie muzyczną a la skrzyp galęzi z wisielcem i dopiero się wszystkim chałturnikom dzioby rozdziawia z zachwytem.

Sennik

— przepowiednie niechybne

JAJA KUPOWAĆ

Jabłko na drzewie — radość; jabłka trząść — szczęście
Jabłoń — wielka rozkosz
Jad — tajemniczy wróg
Jagnięta — niespodziewane szczęście

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Wiedźmy są na etapie żucia karków sierpniowych na mięso, bo im jakieś łykowate się przytrafiły. Pobudziło to jednak ich szare komórki do tego stopnia, że są już o krok od wynalezienia elektrycznej froterki do zębów. Na razie świetnie sobie radzą przy pomocy papieru ściernego. Ba, wysunęły nawet postulat, aby jedna strona papieru toaletowego była chropowata. Wówczas po wyczyszczeniu dwurzędowego (po jednym zębem w każdym rzędzie) garnitur z jamy gębowej, drugą stronę można byłoby wykorzystać do celów tradycyjnych, co załatwiłoby za jednym zamachem cały przewód pokarmowy. Piekło centralne z zachwytem zerka na owe poczynania i dyskretnie daje do zrozumienia, że mogłaby to być jednocześnie rolka antykoncepcyjna.

WYTYCZNE

Przystrzyć kierunek rowoju gnoju.

WSKAZÓWKI

Zrównać dzwoniących zębami z dzwoniącymi medalami lub przynajmniej z ziemią.

TWÓRCZOSC

Dolinami i wzgórzami coś się snuje, coś się wlecze, jak przewrotna zmora ubezpieczeń.

Z upoważnienia NSDW

Czarnego vel Hańczaka do publicznej wiadomości

podał
TADEUSZ CHARMUSZKO

Jagody jeść, lub widzieć — powodzenie w miłości

Jaja kupować — kłótnia; jaja jeść — utrapienie; rozłuc je — strata

Jajecznicę smażyć — zdrowie i szczęście

Jałmużnę dawać — kłopoty; otrzy-
mać — pogorszenie w interesach

Jałowiec — niewielkie utrapienie

Jama, wpaść w nią — niepowodzenie

Jarmark — oszustwo jawne

Z TEKI KOLBERGA

Diabeł, gdy się rozrubasz, to po nocach głupich strasz.

— o —

Diabeł nie chciał być kucharzem, furmanem, mamką, ale młynarskim wieprzem, urzędniczym koniem i książką kucharską.

— o —

Diabeł wie, co jest jego. Diabli ci do tego.

— o —

Dlatego diabeł mądry, że stary.

— o —

I diabeł chodzi w habicie, jeśli mu dogodnie.

— o —

Kto mieszka na przedpieklu, diabła prosi w kumy.

— o —

Kto się z diabłem skumie, to i zakląć umie.

— o —

Nie maluj diabła na ścianie, by ci się nie przysnił.

Rysunek Władysława Mściłowskiego

NIE WIEM, CZY SPAŁEM Z ANIOŁKAMI.



PRZEWAGA TYCH PIERWSZYCH W MOICH SNACH JEST DRUZGOCĄCA.



NIE WIEM, CO MI SIĘ ŚNIŁO,



DEMONICZNIE MIAŁDZĄCA!



JEŚLI W OGÓLE ŚNIŁEM.



ALE JESZCZE PRZYJDA DO MNIE SNY SIELSKIE-ANIELSKIE.



JEŚLI ŚNIŁEM, TO PRZEDZĘ Z DEMONAMI NIŻ Z ANIOŁKAMI.



JESZCZE JA KIEDYS... DOCZEKAM SIĘ!...



POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY